

Kazimierz Sopuch

MEANDRY LOSU

poprawione

CZEŚĆ I. MAZURY

Rozdział 1.

Idą – Heniek, Jola, Stasiek i Leon. Na plecach dyndają im się buty, czują ich delikatny i nieco drażniący dotyk to na lewej, to na prawej łopatce. Przed chwilą wysiedli z „ciuchci”, która z Ostrołęki do Pup wiozła ich aż 4 godziny. Dla Leona była to pierwsza podróż koleją.

- Też mi kolej- naśmiewał się z niego Stasiek, starszy brat, który uważał się za przewodnika grupy, bowiem na Mazurach, a szczególnie w Mrągowie, był już kilka razy.

- Lezie toto tak wolno, jak słońce pod górę, gdy jesteś na pastwisku i południa doczekać się nie możesz. Kolej prawdziwa – to co innego. Ale co ci tam mówić o kolei, gdyś ty lokomotywy z bliska nie widział.

Leon chciał się odgryźć bratu, nie znajdował jednak w pamięci niczego, co by mogło tamtego zawstydić.

Imponował mu zresztą ten brat: wysoki, szczupły, o szerokim, ładnie sklepionym czole i lekko falujących włosach, zaczesanych zawiadziacko do tyłu. Ubrany w harcerski mundurek niósł z udaną lekkością plecak, spakowany wzorowo, podczas gdy oni dźwigali jakieś tam kobiałki, które im matki na drogę przygotowały.

Stasiek spojrzął na słońce, na przydrożne drzewa i zawyrokował: jest już pierwsza po południu. Musimy się spieszyć, jeżeli w Mrągowie chcemy być przed zachodem słońca. Te 25 km zdążymy przejść przez 6 godzin, a przy okazji zobaczycie, jak tu jest pięknie. Nie tak jak u nas, nad Narwią, gdzie tylko piaski, las i pole. Więc jak – idziemy? Idziemy – odpowiedziała trójka.

- Jolu, załóż buty, bo masz najsłabsze nogi, a w harcerstwie uczą, że w daleką drogę nie wolno wybierać się boso. Mama i tak nie widzi, nie będzie więc na ciebie krzyczała. A zresztą – obejmij się wszyscy. Droga tu twarda, a i do miasta daleko.

Siedli, założyli buty i ruszyli w drogę. Słońce akurat staczało się z najwyższego punktu, dążąc ku zachodowi, a oni, tuż za Pupami, zginęli w gęstym, świerkowym lesie.

Rozdział 2

Pupy. Ta wieś dziwna, o jeszcze dziwniejszej nazwie. To do niej przyjechali bohaterzy, bo bohaterami staną się te dzieci, i od niej poszli pieszo w ziemię mazurską, niby taką samą jak ich nadnarwiańska, a jednak tak inną, że tej inności starczy na wiele lat ich życia i życia tych, którzy tu przyszli nie tylko z miłością.

Ale teraz idą samotni przez ciemny świerkowy las, zaglądają do wyrw po bombach, dziwią się na widok wywróconych kadłubów czołgów, dział i resztek rozbitych samochodów. Trudno poznać, kto z tej czwórki przeżyje najwięcej, kogo los doświadczy najbardziej. Zabawmy się więc w proroków i powyznaczajmy im role.

Heniek, przyjaciel Staśka, przeżyje swój dramat Boga i to właśnie wtedy, gdy będzie mu się wydawać, że już wszystkie trudności pokonał. Marysia, siostra Staśka i Leona, do końca nie uświadomi sobie, że stała się także ofiarą losu, który naznaczy ją piętnem oblędu za to, że nie umiała walczyć o skarb swój jedyny - o miłość.

Stasiek najszybciej pozna swój los i ulegnie mu. Pozna on go bowiem w chwili, gdy już za późno, by podejmować z nim walkę. Przynajmniej taką walkę, która miałaby szansę zwycięstwa.

A Leon? O – ten będzie walczył ze swym losem do końca. To właśnie on pozna zapach i smak życia i on, do końca nie rozumiejąc mechanizmu świata, mechanizmu ludzkiego istnienia, będzie za wszelką cenę dążył do tego, aby to istnienie uczynić wolnym i zależnym tylko od własnej myśli i własnego uczucia. Aż w końcu zrozumie i on... Nie – on nic nie zrozumie. Zostawimy go takim, jakim go poznaliśmy – chciwym życia, podpatrującym je i naginającym do własnej woli, dlatego zawsze pokonanym i zawsze samotnym.

To będzie. Dzisiaj pozwólmy im jednak iść przez mazurski las, oglądać resztki rupieci, pozostawionych przez wojnę, przyglądać się nieznanym ludziom i słuchać ich twardej mowy, tej samej, którą słyszeli nie tak dawno, bo jeszcze kilkanaście miesięcy temu, u siebie, w swojej wiosce, i na dźwięk której ginęli ich znajomi i bliscy, a która teraz wydała im się jakaś swojska i bliska, bo słyszeli ją pośród piękna, a nie wśród wystrzałów i świstu batów. A może także i dlatego, że jej nie rozumieli, nie wiedzieli, jakie mówiono do nich słowa, jakimi witano ich okrzykami.

Rozdział 3.

- Stasiu, zobacz, a to ci las! – krzyczał z daleka, gdzieś z jego głębi, Leon, który niepostrzeżenie oddalił się od grupy. Ledwie go słyszeli, szybko więc podążyli za nim, aby się nie zgubił. A on szedł dalej i dalej, urzeczony tym dziwnym, świerkowym lasem, tak gęstym, że z trudem mógł się przez niego przedrzeć, a i to często trzeba było się czołgać, ręce chłopca były za słabe, aby torować sobie drogę wśród tej gęstwiny. Gdy go odnaleźli zauważyli, że kończy się dzień. Las ogromniał im coraz bardziej, a słońce, przyglądając się niefortunnej czwórce z boku i jakby zdziwione, zaglądało już jednym okiem na drugą półkulę świata. Zaczęli szybko iść na północ, w tym bowiem kierunku, jak utrzymywał Stasiek, znajdują ich upragnione miasto, w którym czeka ich wujek – proboszcz, sam zresztą niedawno w tym mieście osiadły, i wydaje pewnie gosposi, Frau Balk polecenie, aby przygotowała obfitszą niż zwykle kolację, gdyż przyjadą dziś wieczór do niego goście. Stasiek widzi nawet, jak pochylona i już siwiejąca chodzi po kuchni, nieco usmolona, ale w białym fartuchu, przynosi z zachowanka przysmak Staśka, amerykańską końską konserwę i, mruczając coś do siebie po niemiecku, otwiera ją z wysiłkiem tępych nożem. Z zamyślenia budzi go krzyk Leona, który pierwszy dojrzał w gęstwinie leśnej dym.

Rozdział 4.

W lesie stała leśniczówka, a tuż na jego skraju, zaledwie o kilkadziesiąt metrów od niej, bielilo się parę zabudowań. Polskie dzieci, przelęknięte samotnym przejściem przez las, nie śmiały zbliżyć się do żadnego z domów. Stały niezdecydowane, jeszcze ukryte wśród lasu, gdy zauważyły, jak trzech mężczyzn, przeskakując od drzewa do drzewa, zbliża się do leśniczówki. Stasiek, który czuł, że to on ponosi odpowiedzialność za ten niefortunny marsz, wyskoczył z ukrycia i już chciał biec w ich kierunku, gdy zauważył, jak spod płaszców wystają im karabiny. Szybko cofnął się i, obejrzawszy się za siebie, spostrzegł, że wszyscy są czarni. To go przeraziło jeszcze bardziej, zaczął chwilę zanim nie odeszli, wrócił do czekających i rozkazał im cicho biec za nim.

Szarzało. Pochyleni biegli przed siebie skrajem lasu. Nagle usłyszeli strzał. To poderwało ich jeszcze bardziej. Za pierwszym padł drugi,

trzeci. Nie nasłuchiwali – pędem, ile sił w nogach, ciągle trzymając się skraju lasu, biegli – aby jak najdalej. Droga wyraźnie zaczęła piąć się w górę, więc przystanąli, aby zaczerpnąć tchu. Rozglądając się po sfałdowanym terenie ujrzeli w gęstniejącym mroku kilka punktów świetlnych, do których przyłączały się co pewien czas nowe, aż utworzyły koło niby obwarzanek, taki, jaki matka przynosiła z jarmarku. Nie mając już siły biec dalej chcieli jak najszybciej uciec z lasu, ruszyli, potykając się i podtrzymując, na przelaj, prosto w środek świecącego koła.

Głośne ujadanie psa, potęgujące z każdym ich krokiem. Stasiak bierze na ręce Jolę, która nagle zaczyna krzyczeć. Za nim biegną Leon i Heniek. Pies zbliża się coraz bardziej, czują jego oddech. Ujadanie przechodzi w skowyt, w spazm. Jeszcze tylko kilka kroków... Nagle słychać głos Staśka – Burek, nie rusz!

Pies nagle zamilkł, podbiegł kręcąc ogonem i łasząc się zaczął lizać im ręce. Spotkali się – kurpiowski pies, od Mysiańca, i oni – dzieci wychowane nad Narwią, znające jedynie jej monotony szum i ryk bydła na pastwisku. Tylko Leon bogatszy jest o przeżycie, którego tamci nie znają.

Rozdział 5.

Lipiec. Leon siedzi skulony w dziesiątku żyta. Deszcz cicho uderza o kłosa, krople gromadzą się na dźbłach i spływają na ziemię. Zasypianiu towarzyszy poczucie bezpieczeństwa: u nóg, ciepła i czujna, leży heca, a krowy, uwiązane na palach, też pewnie się pokładły. Drżą liście osiny w pobliskim lesie. I gałęzie sosen jakby niespokojne – dają Leonowi jakieś znaki, ale Leon ich nie odczyta – zaraz zaśnie.

Nie – nie zaśnie. W spokojny szum lasu wdziera się obcy rytm pracy silnika. Chwila ciszy. I nagle wrzask: „Austeigen, austeißen, schnell, die polnische Schweine!”. Krótka seria z automatu – jedna, druga, trzecia. Cisza. I znów obcy rytm pracy silnika.

Przerażone oczy dziecka widzą trzech biegnących w jego kierunku ludzi. Gdy padają serie z automatu, kładą się powoli, chwiejnie, na wilgotne igły sosen. Ostatni wyrzuca przed siebie ramiona, biegnie jeszcze kilka kroków, ogląda się za siebie jakby zdziwiony, że biegnie sam – nagle kurczy się, chwytając za piersi, powoli klęka, padając twarzą do ziemi.

Leon słyszy przez chwilę ich jęki, ale i one cichną. Heca, skowycząc cicho tuli się do jego nóg. Gdyby nie ten pies, chyba umarłby ze strachu.

Tuż przed zachodem słońca zjawił się ojciec, który dowiedział się o rozstrzelaniu Polaków. Wziął Leona za rękę i poszli obejrzeć ciała. Dwóch leżało twarzami do nieba, trzeci twarzą do ziemi. Niebo było pogodne, w blasku zachodzącego słońca ich twarze nabrały dostojności, były podobne do twarzy stryja, który leżał przez dwa dni w swoim pokoju, w którym tyle lat przeżył. Stryj także krzyczał przed śmiercią, wołał żonę, która cały czas stała obok niego.

Leon wtedy nic z tego nie rozumiał. Nie wiedział, dlaczego stryjowi wkładają do ręki gromnicę, której on już nie mógł utrzymać. Napawał Leona łękiem widok tego wijącego się na łóżku starca, którego pamiętał jako pogodnego i zawsze zadowolonego, podśpiewującego ochoczo, gdy był lekko zamroczony alkoholem.

Wieczorem pojawili się ludzie, rozszerzyli i pogłębili dół, w którym ojciec Leona chował ziemniaki na zimę, ułożyli w nim trzy ciała, przysypali ziemią i postawili prosty, osinowy krzyż. Później ktoś przybił drewnianą tabliczkę z napisem:

Tu spoczywają ofiary hitleryzmu o nieznanym nazwiskach, którzy zostali rozstrzelani dnia 12. 07. 1943 roku. Niech odpoczywają w pokoju.

Rozdział 6.

Kurpiowski pies wiedzie wędrowców prosto do zagrody. Widzą, jak na podwórku uwijają się ludzie, coś wnoszą do mieszkania. Przed stajnią stoją trzy konie, ktoś pospiesznie prowadzi je do środka.

- Wy od kielca? Polacy czy Niemce? – kobieta przysadzista, gruba, podchodzi do nich i patrzy zdziwiona, że to dzieci.

- Polacy – odpowiada Stasiek. – Zabłądziliśmy w lesie i prosimy o nocleg.

- A dokąd to tak, sami, bez niejakiej opieki. Cus to za matka musiała być, że tak was puściła samopas? Ale chodźta do chałupy, chodźta, tutaj polskie ludzkie żyją, nie umrzeta z głodu.

I nie czekając na odpowiedź wiedzie ich przez zabloconą sień do jasno oświetlonej izby, sadowi przy stole, krząta się chwilę, a następnie niesie mleko i chleb. Jedzą w milczeniu. Gospodyni zresztą nie ma czasu, by się nimi więcej zajmować. Wnosi do następnego pokoju pierzyny, pałta, bieliznę pościelową i stare obuwie. Po chwili wchodzi trzech mężczyzn, Stasiek ze zdziwieniem stwierdza, że są to ci sami, których widział w lesie. Usmoleni na twarzy, ubrani dziwnie. Krzyczą

o wodę, szybko myją się i przebierają. Dwóch żegna się i odchodzi, trzeci zostaje. Stasiek domyśla się, że to gospodarz, rozsiadł się wygodnie i patrzy na nich podejrzliwie.

- Stara, skąd te pędraki? Po co ich tu puściłaś, jeszcze coś zwęszą – denerwuje się.

- Nie zwęszą, Franuś, nie zwęszą. A dyć to samotne dzieciaki spod Łostrołęki. Zabłądziły niebożątka, widzisz jakie to zastrachane, toć i musiały ich przyjąć na nocleg. Pana Boga w sercu bym nie miała, gdybym takie na noc wypędziła. I, zwracając się w ich stronę, dodała: - Jedzta, jedzta, stary ino tak zrzędzi. Przenocujeta, a jutro rano pojadzietą dalej. Tylko dokąd wyjadzietą, bo nie dosłysałam?

- Do miasta, odpowiedział Stasiek. – Do wujka, który jest proboszczem i gimnazjum zakłada. Będę się tam uczył.

Dalsze wyjaśnienia przerywa stukanie do drzwi.

Rozdział 7.

Weszły trzy Mazurki. Zapłakane, przełęcznione i zmęczone, widać, że biegly. Mówią wszystkie trzy naraz, słowa polskie płaczą się im z niemieckimi, trudno pojąć, o co im chodzi. Powoli Stasiek zaczyna rozumieć.

Przyszły do sołtysa /okazuje się, że gospodarz, u którego dzieci się zatrzymały, jest sołtysem/, gdyż przed chwilą trzech usmolonych mężczyzn wtargnęło do leśniczówki i kilku zabudowań stojących obok, zrabowali co było pod ręką, grożąc użyciem broni w razie oporu. Następnie poszli do lasu, gdzie ukryli się Mazurzy z końmi. Zastrzelili dwóch mężczyzn, którzy usiłowali stawiać opór, jednego konia zaprzęgli do bryczki i odjechali, dwa zabrali ze sobą. Kobiety prosiły, aby sołtys zajął się odszukaniem zrabowanych rzeczy i koni, zadzwonił do władzy, słowem – zorganizował pościg.

Sołtys szybko zorientował się w sytuacji. Spojrzał groźnie na żonę i rozkazał: - Zabierz tych bachów, to nie ich sprawa. Odchodząc słyszeli, jak mówił do Mazurek: - Teraz noc, na drogach pełno bandytów, a telefonu we wsi nie ma. Jutro rano dam znać władzy, zajmą się waszą sprawą. A teraz idźta, nic dla was więcej zrobić nie mogę.

Gospodyni zaprowadziła dzieci do stodoły, na siano. Dając im do nakrycia pierzynę powiedziała: To szwabska, ale ciepła. Puchowa. W życiu takiej nie miałam.

Noc i „szwabska” pierzyna otuliły czwórkę zmęczonych wędrowców. Gdy się obudzą pójda każde ku swemu przeznaczeniu – najszybciej pozna je Stasiek.

Rozdział 8.

17 czerwiec, 1948 rok. Godzina trzecia po południu. Upał. Pod izbą, w jej cieniu, siedzi sześćdziesięcioletni mężczyzna i klepie kosę. Siedzi na ławce, kolana mocno obejmują pieniek z „babką”, po której powoli posuwa się kosa. Leon trzyma jej koniec, aby się nie chwiała, i podziwia subtelność uderzenia młotka w ostrze kosy. Jednostajny rytm uderzeń powoli słabnie i Leon widzi, jak ręka ojca odmawia mu posłuszeństwa by opaść na jego kolana. Ojciec rzuca młotek, ociera rękawem koszuli pot z czoła, prostuje pochylone plecy. Właśnie na ten moment odpoczynku czekał Leon. Wpatrzony w ojca, prosi:

- Tatusiu, opowiedz coś z dawnych czasów, gdy ty byłeś dzieckiem.
- Do jego prośby przyłącza się Jola, siada przy ojcu, gładzi go po głowie.
- A co wam opowiedzieć?
 - O tym, jak to dziadek swoim leniwym koniem umiał szybko jeździć.
 - Przecież już wam tyle razy to opowiadałem.
 - To nic, opowiedz jeszcze raz, ty tak ładnie to opowiadasz.
- I stary Adam Grudek, zadowolony, że ma słuchaczy, rozpoczyna opowieść.
- Mój ojciec należał do ludzi skąpych. Nabiedowała się z nim matka moja, oj nabiedowała. Bywało, przyjdzie do niego zastrachana i prosi: „Michał, daj trochę grosa. Adam ,niby ja, wszystkie portki już poder, chciałam kupić drelichu, aby uszyć mu nowe.” A on jak nie wrzaśnie: „Sama mu uszyj z tego materiału, coś go łośńskiego roku na krosnach utkała. Patrzta no go – a to on kawaler, żeby go w kupne portki stroić? Do panny jesce się nie zaleca. Cóż było robić, musiałem do 18 roku zycia w parcianych portkach chodzić, sytych ręcznie przez matkę. Takie to tam było i sycie: tylek opuscał się niemal do kolan, wszystko powykręcane, nierówno skrojone. Chłopaki się ze mnie śmiały.
 - Tatusiu, miało być o koniu!
 - No koń jak to koń – leniwy był, narowisty. Jak zobaczył kałużę, to się zaraz w nią kładł, łamał oroble i niscył półsorek. Bata to się wcale nie bał, tylko ogonem machnie i idzie jak chce. To ojciec wpadł na pomysł i gorące kartofle w worecku przywiązywał mu do ogona , wtedy gnał jak głupi. W końcu ojciec musiał go sprzedać za psie pieniądze zydowi. Dość opowieści, kosę trzeba dokończyć klepać, bo jutro z samego rana jadziemy kosić łąkę.

I znów monotonne stukanie, raz przy razie, aby kosa dobrze cięła trawę. Z chałupy wychodzi mama, woła na obiad. Jakaś smutna od rana, nie może znaleźć sobie miejsca. Wstali, by iść na obiad, a tu listonosz rowerem zajeżdża i telegram daje.

- Smutną nowinę przywiozłem, Adam. Sykujta się na pogrzeb, syn Stasiak utopił się w mrągowskim jeziorze.

Proboszcz mrągowskiej parafii, brat mamy, donosił w telegramie, że pogrzeb odbędzie się za dwa dni. Nie było czasu na rozpacz, załamywanie rąk. Tylko ojciec ciągle powtarzał: - Po co ja go zawiozłem do tego Mrągowa, gdyby się ucył w Ostrołęce nie wydadzyloby się takie nieszczęście.

Następnego dnia z rana sąsiad zawiózł ojca, mamę i Jolę do Ostrołęki, skąd autobusem pojechali do Mrągowa. Leon został na gospodarce, ktoś musiał dopilnować dobytku.

Rozdział 9.

Po przyjeździe do Mrągowa poszli obejrzyć Staśka. Leżał w białej trumnie, ubrany w harcerski mundurek. Twarz miał spokojną, tylko na lewym policzku widać było szramę od bosaka, przy pomocy którego poszukiwali go w jeziorze. Proboszcz opowiedział im o wypadku: pod wieczór chłopcy poszli umyć się do jeziora, bo zabrudzili się przy rozbiórce domu, zniszczonego przez bomby w czasie frontu. Koledzy poszli na skocznię, umieli dobrze pływać. Stasiak nie zdążył jeszcze opanować tej umiejętności, dlatego odłączył się od nich, by umyć się przy niewielkim mołu. Nagle, gdy poszedł kilka kroków w jezioro, natrafił na dół, zaczął tonąć. Widziała to kobieta, siedząca na brzegu z dzieckiem. Początkowo myślała, że nurkuje, ale gdy za trzecim razem nie wypłynął, zaczęła krzyczeć, że tonie. Koledzy, niczego nie podejrzewając, spokojnie skakali z niewielkiej skoczni. Gdy dopłynęli, rozpoczęli poszukiwania ciała, które odsunęło się od brzegu. Ktoś przyniósł bosak i dopiero przy jego pomocy natrafili na ciało, stąd te zadrapania na twarzy. Rozpoczęli reanimację, jeden poleciał po lekarza, który mieszkał niedaleko. Niestety – Staśka nie udało się uratować, za długo trwały poszukiwania.

Ksiądz pocieszał rodzinę, że to był dobry chłopak, na pewno pójdzie do nieba. Następnego dnia rano cała klasa zgromadziła się w kościele na mszy oraz zastęp harcerzy, którego Stasiak był zastępowym. Zrozpaczony proboszcz z trudem prowadził uroczystość pogrzebową, za nim szedł kondukt żałobny, niesiono wieńce i kwiaty. Kondukt posuwał się w ciszy aż do cmentarza. Postawiono trumnę na wilgotnej ziemi, przy niej stanęli rodzice i Jola oraz krewni, a także dziewczyna

Staśka, bardzo piękna Iza, która cicho płakała. Ksiądz ledwie dosłyszalnym głosem zaśpiewał „Salve Regina”, potem „Anioł Pański”, rzucił garść ziemi na trumnę, bo umarły z prochu powstał i w proch się obrócił, pokropił trumnę i zebranych.

Rozpoczęła się ostatnia podróż tego niedawno pełnego życia chłopca ku przestrzeniom nieodgadnionym, ku temu niebu, które podobno gdzieś jest i przyjmuje do siebie sprawiedliwych. Słychać było tylko dudnienie ziemi o wieko i nasilała się rozpacz w sercach zebranych. Najdłużej stała przy grobie zapłakana Iza, nie mogli jej od niego odciągnąć.

Czy fakt, że na mogile postawiono krzyż, zmniejszył rozpacz żałobników? Czy w tej chwili istniała taka moc, która zdołałaby ukoić ich rozpacz? Czy można odpowiedzieć na pytanie, dlaczego odchodzi ten młodzieniec przed spełnieniem ziemskich pragnień i uniesień? I czy można cokolwiek wyjaśnić w tajemnicy odejścia choćby się przyjęło wiarę co góry przenosi i miłość, która silniejsza jest od śmierci, gdy śmierć jest faktem, a tamto tylko nadzieją?

Rozdział 10.

Pochowaliśmy jednego z bohaterów. Pozostała na grobie płyta z napisem: „Ś.P. Stanisław Grodek, urodzony dnia....., Zginął śmiercią tragiczną dnia....., Prosi o Zdrowaś Mario.....”

Więcej nawet rodzice dać mu nie mogli.

Po pogrzebie u proboszcza odbyła się narada familijna. Mówił proboszcz, rodzice i Leon słuchali.

- Wezmę do siebie Leona, może Bóg poszczęści i chłopak bez przeszkód ukończy gimnazjum. Nie ma co rozpaczać po tragicznej śmierci Stasia, albowiem niezbadane są drogi Pańskie. Tyle mogę wam powiedzieć jako ksiądz, choć i mnie niewiele to pociesza. Przed chwilą zapytałem Leosia, kim chce zostać. A on wypalił bez zastanowienia: Sienkiewiczem! A ja myślałem, że odpowie: księdzem. Bystry chłopak, warto go uczyć.

Ojciec Leona odpowiedział: „Dobrze, proszę księdza, ale chłopak każde wakacje będzie spędzał u mnie, bom już stary i pomoc w gospodarce mi potrzebna. Dopóki córek za mąż nie wydam. Zdolny to on jest – na świadectwie z siódmej klasy ma same piątki i tylko jedną czwórkę – z matematyki. Szkoda, aby się chłopak zmarnował.” I, zwracając się do Leona: „No to co, zostaniesz u wujka?” Leon odpowiedział - Zostanę - i wujka w rękę pocałował.

Tak to, w nieprzewidziany przez nikogo sposób, Leon stał się uczniem gimnazjum w Mrągowie. Ilekroć zastanawiał się nad tym dziwnym

zdarzeniem losu, zawsze wydawało mu się, że Stasiek zrobił mu miejsce, że dzięki jego śmierci on mógł się uczyć. Został na całe życie dłużnikiem brata, opiekował się jego grobem, a w ważnych chwilach życia pytał go, jak ma postąpić.

Rozdział 11.

Otoczony opieką wujka Leon wzrastał w bojaźni bożej i w poszanowaniu dla księży, biskupów i papieża. Biskupa widział w swoich latach sztabackich, prymasa zobaczył na studiach, zaś papieża – na obrazku. Z obsługi plebanii polubił gosposie, które albo żyły w cieniu proboszcza, albo obok proboszcza, albo ponad proboszczem. Z innych funkcji w parafii polubił rolę kancelisty, organisty i grabarza, albowiem pełnił je wszystkie jednocześnie będąc w ostatniej klasie gimnazjum. Funkcję kancelisty powierzył mu wujek jeszcze w dziesiątej klasie, którą pełnił za jedzenie i opiekę, funkcja organisty przypadła mu w udziale tylko dlatego, że zabrakło wykształconego organisty, który odszedł do pracy w domu kultury, a władze tej placówki nie godziły się, aby w tym samym czasie pełnił funkcję organisty, bo „partii by się to nie podobało”. Takie były czasy, o wszystkim decydowała „jedynie słuszna” partia. Leon, choć słuch muzyczny miał kiepski, zdołał w szybkim tempie nauczyć się podstawowych zasad gry na organach i grał najpierw w dni powszednie, a gdy się podkstałcił, nie tylko w niedziele i święta, ale nawet wtedy, gdy na wizytację przyjechał biskup. Wujek uznał, że będzie mógł zatrzymać sobie dobrowolne datki, które dostanie za grę w czasie pogrzebów i ślubów. Nie były to duże pieniądze, ale, w połączeniu z opłatami za kopanie grobów, stanowiły całkiem pokaźny zastrzyk dla ucznia. Pełniąc funkcję grabarza nauczył się odróżniać prawdziwy ból po zmarłym od udawanego, który wybuchł nagle w momencie opuszczania trumny do grobu i trwał do uformowania mogiły. Zdarzało się to głównie na pogrzebach ludzi ze wsi, taki był obyczaj, należało pokazać, jak wielki jest ból po zmarłym, choć za życia niewiele się troszczono o ludzi starych.

Przy parafii służyły także zakonnice, które nie zapisały się dobrze w pamięci Leona. Miały one zwyczaj śledzić go i o wszystkim donosić proboszczowi, zwłaszcza gdy po raz pierwszy się zakochał. Ta niechęć do zakonnice została mu na długo, choć nieraz spotykał zakonnice wzorowe, ciche i pokorne, oddane pracy dla dobra bliźniego. Przeważnie jednak były to kobiety o zawiedzionych ambicjach życiowych, wyobrażające sobie, że skoro nałożyły habit, świętość już sama przyjść musi.

Co innego gosposie. Te dbały, aby w niedzielę obiad był smaczny i suty, na każdy odpust kupowały węgorza i przyrządzały faszerowanego szczipaka, nade wszystko zaś uwielbiały przygotowywać pieczony drób. Było to jednakże jadło odpustowe, w dzień powszedni proboszcz umiał pościć, jadał serek i potrawy mączne, cierpiał bowiem na żołądek, a więc i Leon, od dziesiątej klasy dopuszczony do proboszczowskiego stołu, jadać z nim to samo musiał. Nauczył się szanować gosposie, prawić im miłe słówka, za co spotykało go nieraz wyróżnienie w postaci kurzego udka i pieczonej kaczki nadzianej potrawką jabłkową. W pierwszych latach pobytu u wujka Leon mieszkał razem z innymi wychowankami w internacie, zorganizowanym przez wujka dzięki pomocy Caritasu. W domu parafialnym funkcjonowała też kuchnia dla ubogich i przesiedleńców z Wileńszczyzny, którzy jeszcze nie zdążyli się zagospodarować. Nade wszystko jednak wujek opiekował się Mazurami, przydzielał im żywność i ubrania z paczek UNR-y, kojarzył mieszane małżeństwa, niemal zawsze wbrew rodzicom strony napływowej. Zjeżdżali się więc do niego zakochani „nieprawidłowo” z różnych stron, a on pouczał, dawał rady, często odbierał wyznania wiary od strony ewangelickiej. Takich małżeństw nie było dużo – w sytuacji, jaka się wytworzyła na Mazurach w latach 1947 – 56, dobrze, że i te się zdarzały.

Rozdział 12.

Leon w czasie nauki w gimnazjum nie należał do ZMP ani do harcerstwa, które było opanowane przez komunistów. Jedyne w dziewiątej klasie dyrektor wytypował go jako rachmistrza spisowego w Spisie Powszechnym.

Dziwne to było zajęcie. Najpierw w czasie kursu w Powiatowej Radzie Narodowej pouczono rachmistrzów, żeby nie reagowali na żadne bunty ludności mazurskiej, gdyż prawdopodobnie wielu z nich nie zgodzi się na podanie w rubryce narodowość, że są narodowości polskiej. Należy więc samemu tę rubrykę wypełnić „zgodnie z planem”, a następnie, również samemu, ale lewą ręką, podpisać buntującego się Mazura czy Mazurkę. „Nie ma już u nas Niemców, wszyscy są Polakami” – powiedział na zakończenie kursu przewodniczący Powiatowej Rady Narodowej, człowiek ograniczony, posiadający zaledwie trzy klasy szkoły podstawowej.

Tak pouczony Leon ruszył w teren. Powierzono mu podmiejskie wioski, które znał dobrze ze swej samotnej włóczędzy. Do pomocy dyrektor przydzielił mu kolegę z tej samej klasy, Rafała, który znał parę słów języka niemieckiego i przygotowywał mu teren. Jednak i tak tylko

niektórzy godzili się na udzielanie odpowiedzi zgodnie z pouczeniem przewodniczącego. Często też, zamiast przyjaznego przyjęcia, gospodarze uciekali na strych i spuszczały z łańcuchów psy, specjalnie głodzone, aby tym zajadłej sobie poczynały. Takie domy omijali i odwiedzali je ponownie, gdy gospodarze myśleli, że zło już minęło. Wtedy udawało im się czasami nawiązać z nimi bliższą rozmowę. Leona denerwowała taka postawa Mazurów, nie rozumiał bowiem, dlaczego właśnie tak postępują.

Wieczorem opowiadał wujkowi o swoich przygodach.

- Nie powinieneś im się dziwić – mówił wujek. Mazurzy to ludzie nieufni, a my niewiele zrobiliśmy, by tę ich nieufność rozbroić. Chociaż nie – zrobiliśmy, a jakże! Przypomnij sobie waszą pierwszą wędrowną do mnie i tego sołtysa, u którego nocowaliście. A wypadki takie były nagminne, władza państwowa była wobec nich bezsilna. Ba – zdarzało się, jak to sam widziałeś, że ludzie reprezentujący władzę osłaniali w ten sposób swoje niegodziwe postępowanie. Później przyszedł okres repolonizacji, w Olsztynie wojewodą był wtedy Moczar i twierdził, że trzeba Mazurów traktować ostro, zmuszać ich do podpisywania polskiej listy. Nic dziwnego, że wobec takiej polityki nadgorliwcy właczali nieugiętych do piwnic, trzymali ich przez noc po kostki w wodzie, wymuszając w ten sposób podpisanie listy polskiej. Spotykało ich to tylko dlatego, że nie chcieli uznać bezprawia, że czego innego spodziewali się po tej Polsce, o którą wielu z nich walczyło w okresie germanizacji. Ludzie władzy nie rozumieli także tego, że jeżeli w Mazurze zostało choć trochę kultury polskiej, to po przejęciu tych ziem należało tę iskrę rozdmuchać, pokazać im, że właśnie przyszła do nich ta wytęskniona Polska, o której mówili jak o matce, tymczasem przyszła do nich macocha, przyszli ludzie, którzy nie znali ich historii, ich walki o polskość. Zabrakło tych, którzy potrafiliby rozdmuchać tę iskrę polskości, czyniąc to mądrze i wytrwale, bo sprawy wielkie nie dzieją się na rozkaz wojewodów ani kacyków z władz powiatowych, często nawet bez podstawowego wykształcenia. Zabrakło też ludzi prawych na początku powstawania tu państwowości polskiej, bo i skąd mieli przyjść? Nie było ich też dużo w Polsce, bo zostali wymordowani przez okupanta i przez władze sowieckie. Wielu ich braci i synów szło na Mazury, aby się mścić, uznając że ci co pozostali to Niemcy. Koło niesprawiedliwości zostało zamknięte i dopelnione. Jeżeli więc dzisiaj spotyka was takie przyjęcie, nie dziwcie się – zbieracie tylko plon z ziaren, które nie wyście posiali.

Leon słuchał tych wujka wyjaśnień i po każdej takiej rozmowie inaczej patrzył na Mazurów, obserwował ich zachowania, często nawiązywał

bliższe znajomości z kolegami w klasie, którzy zresztą nie czuli się źle w jego szkole dzięki dużej kulturze dyrektora i wykładowców. Często też bywał zapraszany do mazurskich domów, przyjaźnił się z ich dziećmi. Zanim opuścił mury szkolone ze świadectwem dojrzałości w rękę, miał już wyrobiony pogląd na sprawę mazurską. Postanowił także, że po ukończeniu studiów wróci na te ziemie, by tu pracować i poznawać jeszcze bardziej jej mieszkańców.

Jednak los sprawił, że nie mógł zostać przyjęty na polonistykę w Uniwersytecie Warszawskim, jak marzył. W klasie maturalnej zdarzył się incydent, który zamknął jemu i paru kolegom drogę na państwową uczelnię.

Rozdział 13.

Miał on miejsce tuż przed Bożym Narodzeniem w ostatniej klasie gimnazjum. Członkowie ZMP urządzili w szkole choinkę, na której śpiewano na melodie kołędowe różne głupawe przyśpiewki w rodzaju: „Uciekli magnaci naród się bogaci”. Słuchając ich Leon i jego koledzy z klasy natychmiast zaprotestowali, że to obraża ich uczucia religijne. Zaczęły się przepychanki, wreszcie członkowie ZMP wyrzucili ich z imprezy. Na efekt nie trzeba było długo czekać: służby bezpieczeństwa wezwały Leona i kolegów na przesłuchanie. Trzymano ich, każdego z osobna, całą noc w piwnicach SB, zadając ciągle te same pytania, na które oni nie chcieli odpowiadać. Rano każdy z nich został poinformowany, że nie mają szans na studia w państwowej uczelni. Na szczęście dla nich sprawa po jakimś czasie „przyschła”, matura przebiegła normalnie dzięki interwencji dyrektora, który w znany sobie sposób zażegnał całą sprawę. Uznano incydent za „głupi żart” garstki uczniów i więcej się tym nie zajmowano.

Leon jednak wiedział, że jako wychowanek proboszcza nie ma co liczyć na przyjęcie do Uniwersytetu Warszawskiego na polonistykę, zaczęli się więc zastanawiać z wujkiem, jakie znaleźć wyjście z tej trudnej sytuacji. W końcu wujek zdecydował: „Pójdziesz na Katolicki Uniwersytet Lubelski, tam UB nie ma wpływu na decyzje uczelni. Napiszę ci wzorową opinię, więc zbieraj się i zawieź tam swoje dokumenty, mam nadzieję, że zdasz egzamin na polonistykę.”

Leon uznał, że decyzja wujka jest słuszna. Nie czekając pojechał do Lublina, przystąpił do egzaminów pisemnych na polonistykę. Najpierw był egzamin pisemny, po którym trzeba było czekać ponad tydzień na wynik sprawdzenia prac. Nie mając co robić zaczął czytać wszystkie ogłoszenia innych kierunków informujące o warunkach przyjęcia. Trafił od razu na tablice wydziału filozoficznego, gdzie odnalazł

nazwisko doktora Pawła Czartoryskiego jako wykładowcy historii myśli społecznej. Przypomniało mu się, że niedawno czytał jego esej o fizjokratkach w „Znaku”, który wujek prenumerował. Artykuł ten bardzo się Leonowi spodobał, zaczął więc przeglądać program zajęć kierunku. Odnalazł tam takie przedmioty, jak metafizyka, etyka, nauki społeczne, teodycea, którą wykladał dominikanin, Ojciec Krąpiec, który też często publikował swoje artykuły w „Znaku”. Pomyślał, że skoro tu tacy mądrzy ludzie wykładają, nie ma się co zastanawiać i należy się przenieść na filozofię. Następnego dnia był właśnie egzamin na ten kierunek, Leon zorientował się, kto jest dziekanem i natychmiast poprosił go o rozmowę pytając, czy może się przenieść z polonistyki na filozofię. Dziekan nie stawiał przeszkód i stwierdził, że może przystąpić do egzaminu ustnego już jutro i jeżeli się okaże, że na polonistycę zda egzamin pisemny, zostanie przyjęty. Takie rozwiązanie odpowiadało Leonowi także i dlatego, że nie musiał czekać długo na uczelni i mógł wracać na Mazury. Egzamin ustny poszedł mu gładko, dziekan najpierw zapytał go, dlaczego chce się przenieść na filozofię, Leon nie zastanawiając się wypalił: bo chcę wiedzieć. Ta odpowiedź najwyraźniej dziekanowi się podobała, bo stwierdził: No skoro chcesz wiedzieć, to ja cię przyjmę.

I tak Leon został przyjęty na zupełnie inny kierunek niż zamierzał. Zaczął się zastanawiać, co powie wujkowi, ale ten miał tylko jedno zastrzeżenie: co Leon będzie robił po skończeniu filozofii? Na to pytanie odpowiedziało życie: po roku wprowadzono na KULu tzw. filozofię praktyczną, aby zmylić władze, bo pod tą dziwną nazwą ukryto socjologię, która była w tym czasie zakazana jako nauka burżuazyjna. A po socjologii Leon nie miał takich trudności ze znalezieniem pracy, jak po filozofii, a z czasem okazało się po październiku 1956 roku, że socjologia to nauka bardzo cenna i interesująca, a nawet niektórzy twierdzili, że to „nauka nauk”.

Rozdział 14.

Studia okazały się bardzo interesujące, a co najważniejsze – nie zabierały wiele czasu. Nie było obowiązku uczęszczania na wykłady, ważne, aby zdać egzamin. Biblioteki zakładowe i biblioteka główna KULu były dobrze zaopatrzone w potrzebne lektury, było też tam bardzo dużo książek autorów z całego świata i z różnych epok. Przeglądając katalogi Leon zrozumiał, że ma bardzo mizerny zasób wiedzy i że powinien natychmiast uzupełnić podstawowe braki, zwłaszcza z literatury powszechnej. Dlatego całymi dniami siedział w bibliotece zakładowej polonistyki i szybko przyłączył się do koła

polonistów, by swoje próby poetyckie przedstawiać na zebraniach i pogłębiać sztukę tworzenia. Był tak zafascynowany nowym życiem studenckim, że zupełnie nie interesowało go, jak da sobie radę z mieszkaniem i jedzeniem. Okazało się, że natychmiast po przyjęciu go na studia przyznano mu akademik i obiady oraz kolacje, sam przyrządzał sobie jedynie śniadania. Wujek zapewnił go, że przez okres studiów dostanie 200 złotych miesięczni na życie oraz raz na rok nowe ubranie. Aby zwiększyć swoje zasoby finansowe porozumiał się z kolegą, który robił zdjęcia i miał potrzebne narzędzia do ich wyprodukowania, razem chodzili po okolicznych wsiach robiąc zdjęcia z różnych okolicznościowych uroczystości rodzinnych, co dawało im całkiem niezły dochód. Życie upływało im szybko i beztrudno, egzaminy nie okazały się trudne, a wykładowcy wyrozumiali, można było zdawać po kilka razy bez wpisywania negatywnych ocen do indeksu. Na każde ferie świąteczne czy wakacje Leon jeździł bądź do rodziców, bądź do wujka i przywoził do akademika całkiem okazałą walówę, a szczególnie sporo miodu, wujek bowiem hodował pszczoły i Leona tej sztuki nauczył. Miód stanowił często towar zamienny na inne dobra, potrzebne do życia.

Ale wszystko co dobre szybko się kończy. Po czterech latach nauki Leon zdał ostatek egzaminy i postanowił, że pracę magisterską napisze pracując zawodowo na Mazurach, umówił się bowiem ze swoim promotorem, że będzie pisał o kształtowaniu się świadomości narodowej Mazurów, robiąc badania terenowe w powiecie mrągowskim.

Rozdział 15.

Po ukończeniu studiów Leon wrócił na kilka tygodni do domu rodzinnego, aby rodzice mogli się nim nacieszyć. Długo nie mogli zrozumieć, co ich syn studiował i po co oraz co będzie po tak dziwnych studiach robił. Aby się uwolnić od tych kłopotliwych pytań oznajmił rodzicom, że wyjedzie na Mazury i znajdzie sobie pracę w dziennikarstwie.

Łatwo było to powiedzieć, ale jak znaleźć taką pracę i to jeszcze z jego wykształceniem, trudnym do zaakceptowania w systemie wartości ustroju komunistycznego? Mimo tych wątpliwości postanowił, że zrobi wszystko, aby upragnioną pracę zdobyć – i więcej sobie tym problemem głowy nie zawracał, tym bardziej, że szykował się ślub siostry Joli i wszyscy tylko o tym mówili.

Ślub ustalono na pierwsze dni lipca. Leon był w domu dopiero parę dni, nie orientował się więc dobrze, jak jest z tym ślubem. Dopiero Jola,

gdy już było wszystko przygotowane, a młodzi wzięli niedawno ślub cywilny, upatrzwszy wolną chwilę i gdy byli sami, zwierzyła mu się z płaczem, że nie chce tego ślubu, że uległa namowom rodziców i Zenka, jej nowego narzeczonego oraz jego krewnego Janka Paździerza. Wszyscy oni zmówili się, aby przepędzić Antka Wrońskiego z sąsiedniej wsi, który nie tylko kochał Jolę, ale i był przez nią kochany. Trochę pił, to prawda, ale który chłopak ze wsi nie pije?

Któregoś wieczora, gdy już wszyscy szykowali się do snu, pojawił się Zenek z Jankiem Paździerzem i zaczęli namawiać rodziców, aby zrezygnowała z Antka i wyszła za Zenka, że to porządny chłopak, sam wszystko robi, ze swojej wsi. Co ma po obcych wsiach chłopca sobie szukać, gdy i na swojej nie są gorsi. Tamten to pijak, wszyscy o tym wiedzą, co niedziela zatacza się po rynku w miasteczku. Zenek jest chłopakiem spokojnym, bić się nie lubi, ze znanej rodziny, ojca uszanuje, będzie więc z niego dobry zięć. A przy tym robotny, wszystko umie, ojciec będzie tylko rozkazywał i na łóżku polegiwał. Mówili jeszcze długo, to jeden to drugi, a Jola słuchała. Zenek ani razu do niej się nie zwrócił, bo wiedział, że nie ona będzie decydowała. Kończyła zaledwie osiemnaście lat, a za taką rodzice decydują. Jolę dziwiło tylko jedno: dlaczego nie zainteresował się nią, nigdy do chałupy nie zaszedł, choć dobrze wiedział, że wychodzi za Antka. A i wieczorem ciągnęło od nich wódką.

Kochała Antka. Był wysoki, ruchliwy, młodszy od Zenka o kilka lat, a nade wszystko mniej zawistny, dobry dla niej. Prawda że pił i to nawet dużo. Jola jednak wierzyła, jak zresztą niemal wszystkie młode dziewczyny, że uda się jej go przerobić, odciągnąć od wódki. Sam zresztą przyrzekał, że gdy wejdzie do takiej dobrej rodziny, znanej z pobożności i z tego,

że nikomu krzywdy nie robi, na pewno będzie się wstydził i skończy z wódką. Przekonał ją

wtedy, rodzice też się zgodzili. Ojcu pilno było do zięcia, szósty krzyżyk wchodził mu już na kark, a z Leona, wiedział to, pociechy w gospodarstwie mieć nie będzie. Wszystko było już postanowione, a tu masz – zjawili się tych dwóch i Jola widzi, jak powoli ojciec zaczyna brać ich stronę. Gdy go przekonali, wtedy w trójkę zaatakowali ją. Broniła się dzielnie, ale i w niej kruszył się opór, szczególnie, gdy przypomnieli jej, o czym wiedziała niezbyt wyraźnie, że jego brat też pije i swoją żonę bije niemilosiermię, sąsiedzi musieli ją bronić. Powoli zaczęła przechodzić na ich stronę, jak ojciec. Zenek zrobił się dla niej szczególnie dobry, zaczął całować, obiecywać złote góry – i zgodziła się.

Ustalili, że jutro skoro świt pojedą do gminy i wezmą ślub cywilny. Zenek już się o to postara, by o tym dowiedział się Antek i nie przychodził do niej, bo już za późno.

- Tak to, widzisz, dziwnie wyszło. Antek, gdy się o wszystkim dowiedział, przyleciał do nas, zaczął płakać, prosić, abym z Zenkiem zerwała, że on tak załatwi w gminie, że zniszczą akt ślubu. Był nerwowy, czuć go było wódką. Zaczęłam się go bać, tym bardziej gdy groził, że zabije Zenka, że tylko z nim mogę być szczęśliwa, a z tamtym zmarnuję życie. Nie podobało mi się to i powiedziałam mu, że już się stało, żeby więcej nie przychodził, bo nic nie zmienię. Powiedziałam mu także, że o tym, z którym będę bardziej szczęśliwa, to już ja zdecyduję, nie on. Obraził się, poszedł i do dziś się nie pokazał. Ja jednak nie mogę po nocach spać, ciągle go widzę, jak stoi w drzwiach i mówi: „To żegnaj, ja jednak nie życzę ci niczego dobrego”.

I co ja mam teraz robić? Wszystko przygotowane, goście sproszeni, świniak i cielę zabite, placki się pieką? Jesteś taki mądry, tyle się uczyłeś, poradź mi.

Leon zapytał: - Kochasz jeszcze Antka?

- Kocham.

- To nie ma o czym mówić – miłość jest najważniejsza. Zostaw wszystko mnie. Pojadę do proboszcza, odwołam wesele, powysyłam depesze, aby goście nie przyjeżdżali. A jeżeli i kto przyjedzie, to nie szkodzi, jedzenia dużo, tak długo u nas nie byli. Ze ślubem cywilnym też się załatwi, rozwód dadzą ci szybko, gdy się dowiedzą, że z mężem ani dnia nie żyłaś.

- Nie, Leon. Ja muszę iść do tego ślubu. Opowiadają na wsi, że gdy dziewczyna w przeddzień ślubu zrezygnuje, już więcej nikt się jej nie oświadczy. Znasz Halinę Gruszków – przed samym wyjazdem do ślubu zrezygnowała i zobacz – dziesięć lat już mija, a nikt jej nie chce. Ma już przeszło trzydzieści lat i starą panną zostanie, wszyscy jej to wrożą.

- Ależ słuchaj, to są przesady, jak możesz w nie wierzyć. Po prostu wyjedziesz stąd i koniec.

- Nie, nie wyjadę. Ja wiem, że muszę tu żyć. Ty tego nie rozumiesz, bo tobie jest wszystko jedno, gdzie będziesz mieszkał. Ale ja wiem, że moje miejsce jest tutaj. Kto wie, czy oni nie mają racji. Ja już sama nie wiem, czy Antka tak bardzo kocham, jak mi się dotychczas zdawało. Poza tym chodzi tu także i o rodziców, szczególnie ojca, który jest już stary i niewiele może zrobić w gospodarce. A u nas wszystko się wali: i chlew, i stodoła, a i dom trzeba oszalować i wytynkować. Kto to robi, gdy ja zrezygnuję z tego małżeństwa? Czy myślisz, że po tym wszystkim znajdzie się taki, który zechce się ze mną ożenić? Już oni

wszyscy się znają i trzymają swoją stronę. Poza tym szkoda mi tego wszystkiego, co zostało przyszykowane. Musiałoby się zmarnować. Nic się nie martw – już wiem, że wyjdę za Zenka. Zrobisz mi jutro w kościele zdjęcie, będę ładnie wyglądała w tym białym welonie. Poproś, aby kościelny zapalił wszystkie światła, rozłożył w prezbiterium dywan i postawił świeczniki przy kłęczniku. Takiego ślubu, jak Jola Grudek, żadna panna z naszej wsi nie będzie miała. Zobaczysz – ładnie będzie. A do życia można się przyzwyczaić - podobno każdy chłop jest jednakowy.

- Jolu, co ty za głupstwa wygadujesz! Młoda jesteś, nie znasz życia. Proszę cię – namyśl się dobrze. Tu nie jest ważne ani gospodarstwo, ani rodzice, tylko ty, twoje szczęście. Pamiętaj – jeszcze jest czas!

Już się namyśliłam, Leon, naprawdę. Chciałam tylko usłyszeć, co mi powiesz, ale i ty nie rozumiesz sytuacji, w jakiej się znajduję. Nie ma już zresztą wyjścia – za wiele przeszkód. Nie mam siły, aby się im wszystkim przeciwstawić. Może i źle robię, jeżeli tak, to kiedyś odpokutuję. Ale wydaje mi się, że wszystko będzie dobrze, zobaczysz. Przyjedziesz za rok, chlew będzie już stał, dom wyszykujemy, Zenek jest stolarzem, szybko to pójdzie. Zapomnę o wszystkim, więc i o Antku też. Idź, pomóż w przygotowaniach do wesela. Już jestem spokojna, nie martw się o mnie i nie mów rodzicom, że rozmawiałam z tobą o tych sprawach. Oni nie powinni o niczym wiedzieć.

Tak więc odbył się ten ślub hucznie, jak na gospodarską córkę przystało, zjechali się stryje i ciotki, pili i dziwili się, że Adam tak wczesnie córkę za mąż wydaje. Przygadywali przy tym Leonowi, że i na niego też już czas. Leon ani myślał się bronić, uśmiechał się tylko i, wódkę stryjom nalewając, zapraszał do jedzenia. Był głównym mistrzem ceremonii, wszyscy go chwalili, że ucztę weselną dobrze obmyślił i poprowadził.

Kilkadziesiąt dni po weselu Leon opuścił rodzinną wioskę i pojechał do wujka, aby rozejrzeć się za pracą. Szybko też zapomniał o zmartwieniach Joli, Zenek zresztą podobał mu się, był dobry dla siostry i rodziców.

CZEŚĆ II

Znów Mazury.

Rozdział 1.

Mazury. Tęsknił za nimi bardzo. Dopiero tutaj czuł się jak u siebie w domu. Znow zaczęła się wędrówka po lesie z Rafałem, który jest już wykwalifikowanym pracownikiem leśnictwa, podpatrywanie nad ranem zwierzyny nie po to, by ją łowić, ale poznawać jej życie.

Wujek przyjął Leona bardzo serdecznie, wypytywał o studia. Był dumny ze swojego siostrzeńca, który nie zmarnował czasu na studiach i wujka pomocy. Kiedyś przy kolacji przyznał się Leonowi, iż niezbyt wierzył, że uda mu się ukończyć studia. Teraz za wszelką cenę trzeba zdobyć dyplom magistra. Wujek wiedział, że nie będzie to łatwe, dlatego doradzał Leonowi, aby natychmiast opracował plan działania, a przede wszystkim zdobył pracę. Uważał, że powinien wykorzystać kontakt ze „Słowem na Warmii i Mazurach”, sobotnio – niedzielnym dodatku do „Słowa Powszechnego”, gdzie przecież umieszczono Leonowi pierwszy wiersz i gdzie pracuje jego wielu kolegów po studiach na KULu. Trzeba się wybrać do Olsztyna i nawiązać z nimi bliższy kontakt, bo to, zdaniem wujka, jedyna gazeta, która może go zatrudnić. - Ale to później – zakończył wujek. - teraz wyprawię przyjęcie dla uczczenia twojego sukcesu, trzeba zaprosić co znamienitszych parafian. Niektórych znasz z okresu nauki w szkole średniej. Zobaczmy, którzy z nich nie będą się bać przyjść do proboszcza, bo jak wiesz wiele się w polityce zmieniło. Zaprosz też swoich kolegów, którzy wrócili po studiach do Mrągowa i twierdzą, że tu czują się najlepiej.

Po paru dniach zjawili się na plebanii: aptekarz z żoną i córką, która właśnie otrzymała świadectwo dojrzałości, profesor – polonista z mrągowskiego Liceum Pedagogicznego, także z żoną i córką, również absolwentką gimnazjum, miejscowy wzięty adwokat, z którego usług wujek często korzystał oraz koledzy Leona – dwóch inżynierów po Politechnice Gdańskiej oraz lekarz po Akademii Medycznej też w Gdańsku. Wszyscy brali udział w incydencie ze śpiewami zetempowców pod choinką. Widocznie mrągowskie SB zapomniało o nich. Zabrakło jednak Rafała, który właśnie odbywał służbę wojskową. Leon po przyjęciu dowiedział się od wujka, że przed wojskiem ożenił się z mazurek, córką leśniczego. Zarówno jego rodzice, jak i jej, byli przeciwni temu związkowi, jednak młodzi postawili na swoim. Na kilka dni przed ślubem Rafał przyprowadził do wujka swoją narzeczoną, która była ewangeliczką, aby wujek wyjaśnił jej podstawowe prawdy wiary katolickiej. Po kilku rozmowach zgodziła się przejść na katolicyzm, co jeszcze bardziej rozgniewało jej rodzinę. Mimo tych trudności ślub się odbył, a rodzice z obu stron, wbrew

groźbom, byli na nim obecni. Nawet leśniczy urządził przyjęcie weselne w leśniczówce i nastąpiło ogólne zbratanie.

- O tym jednak opowie ci dokładniej sam Rafał, który za kilka tygodni wróci z wojska – dodał wujek na zakończenie.

Rozdział 2.

Znów, jak przed laty, Leon poczuł się w swoim żywiole. Kajak, jezioro, las, wspólne spacerzy z Agatą, która pachniała świeżością swoich 18 lat. Była uśmiechnięta, tuliła się do niego i zachęcała do pieszczot. Często wyjeżdżali samochodem jej ojca za miasto na „półwysep szczęścia”, gdzie było pusto i romantycznie, a nagrzana woda jeziora zapraszała do kąpieli. Rodzice Agaty patrzyli na te ich zaloty łaskawie, urządzali w swoim dużym mieszkaniu nad apteką potańcówki, gościli kolegów Leona, do których dołączył młody nauczyciel matematyki, bystry, świetnie zbudowany, dlatego zawsze kręciło się koło niego kilka dziewcząt z klasy maturalnej. Ponieważ aptekarz był myśliwym, często na stole późnym wieczorem, gdy młodzi mieli dość tańca, pojawiała się dziczyzna oraz winum pepsini, które przynosiła z apteki gospodyni i, nalewając do kieliszków, zachęcała do picia, „bo to zdrowe i na apetyt dobrze robi”. Potańcówki powtarzały się u innych dziewcząt z bogatych domów, starsi koledzy po studiach chętnie opowiadali dziewczętom o życiu na studiach, na które one dopiero się wybierały.

Niepostrzeżenie zbliżyła się jesień i trzeba było pomyśleć o szukaniu pracy. Leonowi żal było beztroskiego życia, a szczególnie niezapomnianych obiadów na plebanii. Jadł za dwóch, po kilkuletniej głodówce na studiach apetyt mu służył, toteż szybko przybywało mu kilogramów i wracał dobry humor.

Wreszcie na początku września wybrał się do Olsztyna, by porozmawiać z redaktorem naczelnym „Słowa na Warmii i Mazurach” o możliwości zatrudnienia.

Redakcja mieściła się na piątym piętrze budynku, w którym była dyrekcja Domu Książki, a po drugiej stronie ulicy stał ratusz. Leon pomyślał, że to pomyślny znak – gazeta i książki blisko siebie, to kandydatowi na dziennikarza dobrze wróży. Olsztyn znał dobrze z okresu nauki w Mrągowie, bo wujek często wysyłał go tam, by w kurii

załatwiał różne sprawy parafialne, a szczególnie wręczał biskupowi parę litrów miodu. Był więc mile przyjmowanym interesantem.

Imponowały mu trzy budowle: katedra, zamek i ratusz. Teraz, jeżeli zostanie przyjęty do redakcji, będzie całą starówkę miał obok siebie, wszystkie budynki zadbane, emanujące historią. Z tym większą nadzieją wszedł do bramy domu.

Zaskoczyło go to, że w budynku była winda, wprowadzie już leciwa, jakaś dychawiczna, ale skutecznie dowiozła Leona na czwarte piętro, dalej musiał iść po stromych schodach.

Przywitał go starszy pan, pracownicy zwracali się do niego z szacunkiem „Panie Tadeuszu”. Leon przedstawił się i zapytał, czy zastał redaktora naczelnego, bo chce z nim porozmawiać o ewentualnym przyjęciu do pracy. Pan Tadeusz poprosił go do sąsiedniego pokoju, w którym było parę osób. Gdy zaczął przedstawiać Leona, pracownicy natychmiast podbiegli do niego i zaczęli się serdecznie witać, wołając: - Panie Tadeuszu, to przecież nasz kolega z KULu, Leon Grudek. Pamięta Pan – drukowaliśmy jego debiut poetycki niedawno w „Słódku”.

Wszyscy usiedli i zaczęła się serdeczna rozmowa, wspomnianie lat studiów. Leon przedstawił Panu Tadeuszowi swoją sprawę umiejętnie wspominając o swojej znajomości problematyki mazurskiej i chęci pisania pracy magisterskiej o Mazurach. W pewnym momencie Pan Tadeusz przerwał mu: - Ależ Panie Leonie, pan jest naszym człowiekiem, takiego nam brakowało. Zaraz przedstawię Pana naczelnemu.

Naczelny, Piotr, wysłuchawszy Pana Tadeusza, powiedział do Leona: - Z nieba Pan nam spadł, właśnie szukamy kogoś, kto będzie się nadawał do pracy w redakcji. A Pan spełnia wszystkie warunki – jest pan młody, wykształcony, początkujący poeta, znawca spraw mazurskich. Szybko się Pan nauczy dziennikarskiego rzemiosła. Chcę tylko Panu radzić, aby Pan jak najszybciej obronił pracę magisterską, bo jak Pan wejdzie w wir pracy nie będzie już na to czasu. Dlatego proponuję, aby Pan został naszym korespondentem z Mrągowa, będzie Pan miał sporo czasu na badania i na pisanie dla nas. Otrzyma pan spory ryczałt, to na okres próbny powinno wystarczyć, zresztą wujek na pewno pomoże, w każdym razie nie będzie Pan musiał płacić za mieszkanie. Założymy Panu telefon, aby mógł Pan szybko porozumiewać się z nami.

Leon zgodził się chętnie, wypełnił potrzebne dokumenty, pożegnał się z kolegami i zadowolony wrócił do Mrągowa. Wujek, usłyszawszy o przyjęciu i warunkach pracy uznał, że jest to najlepsze dla Leona rozwiązanie. Natychmiast zaczął się zastanawiać, gdzie Leona umieścić, aby miał dogodne warunki do pracy. Uzgodnili, że najlepszy będzie

pokój w domu parafialnym na pierwszym piętrze, gdzie najłatwiej można zainstalować telefon.

I znów wszystko zdawało się płynąć znanym nurtem.

Rozdział 3.

Byłby tak Leon jadł spokojnie proboszczowskie obiady, przysyłał korespondencje z terenu, kochał się w miejscowych pięknościach, gdyby nie Październik. Przedtem, jako redaktor znanego dziennika, został uznany za działacza, wybrano go do prezydium Frontu Narodowego. Oczywiście władze nie orientowały się, że jest on krewnym miejscowego proboszcza, wszędzie bowiem, trochę przez snobizm, przedstawiał się jako redaktor z Olsztyna, oddelegowany do pracy w Mrągowie – i tak już zostało. We Froncie nie było wiele roboty, ale Październik ożywił tę dotychczas martwą instytucję.

W mieście zawrzało. Rozpoczęły się przemówienia, wiece, memoriały pisane przez Mazurów, wysyłane do Gomułki i Cyrankiewicza, miejscowe detronizacje. Leon miał pełne ręce roboty. Pisał artykuły, coraz śmielej sobie w nich poczynając, wytykał błędy, nawoływał i piętnował. A wszystko w imię sprawiedliwości społecznej, w imię polskiej racji stanu. Dostało się wtedy od niego miejscowym kacykom, różnym dyrektorom bez podstawowego wykształcenia, przewodniczącym rad narodowych z dwoma lub trzema klasami szkoły podstawowej, sekretarzom partii. Nie żałował nikogo, bo też i nikt tych ludzi wtedy nie żałował. A oskarżać było o co. Front Narodowy działał. W owym czasie była to jedyna instytucja, która zyskała sobie zaufanie ludności. Nie gardzono w jej szeregach nawet księżmi, co podnosiło jej rangę. I nikt nie nazywał tych księży pogardliwie patriotami, władze patrzyły na nich z sympatią, zapraszano ich do Prezydium, do uczestniczenia w obradach.

Najpierw rozprawiono się ze sprawą mazurską. Wszyscy stwierdzili, że należy ukarać tych, którzy w pierwszych latach państwowości polskiej na tych ziemiach dopuścili się przestępstw i nadużyć w stosunku do miejscowej ludności. Zwołano wielki wiec, na którym Mazurzy sami wskazywali winnych. Cóż, gdy nie było ich komu sądzić. Poprzestano więc na ich napiętnowaniu i usunięciu z władz, o ile tam jeszcze byli. Członkom Frontu Narodowego wydawało się, że uratują w ten sposób sprawę mazurską, zatrzymując narastającą już falę wyjazdów do obu części Niemiec. Jednakże Leon, rozmawiając z Mazurami, wiedział, że niewiele da się uratować, że krzywd nabierało się tyle, iż nie sposób je wyrównać, ani za nie wynagrodzić. Ta potężna fala napływających skarg pokazała ogrom dokonanego zła. Poza tym problem był złożony,

Mazurzy mieli po tamtej stronie część rodzin, propaganda zachodnio – niemiecka robiła swoje i nie było możliwości, aby jej przeciwdziałać. Trudno było także nie zgodzić się na wyjazd tych, którzy byli bez opieki, samotni, a w Niemczech mieli rodziny. Umożliwienie tym ludziom połączenia się z rodziną było podstawowym humanitarnym obowiązkiem państwa. Z tego pozwolenia skorzystali łapownicy i ludzie nieuczciwi, którzy na wyjazdach dorobili się majątku. Leon przekonał się o tym kilka miesięcy po październiku, gdy Rafał, który wrócił z wojska, poznał go z rodziną jego żony.

Rozdział 4.

Zbliżały się święta Bożego Narodzenia. Leon z Rafałem widywał się rzadko, każdy był zajęty swoimi sprawami. Leon prawie codziennie bywał w Powiatowej Radzie Narodowej, uczestnicząc w nieodzownych konferencjach, naradach, detronizacjach. Informował o tym swoją gazetę, a od naczelnego otrzymywał instrukcje, jak należy działać, by „nie wypaść z linii”. Uczył się fachu, zaczynał rozumieć, co daje obecność w określonej organizacji, mieć coś, co nazywano w żargonie dziennikarskim „kośćcem”, a nade wszystko wiedzieć, że jest zaplecze, które w razie wyspy wspomóżę, podeprze, słowem – działać grupowo i nade wszystko „w imieniu”.

Rafał miał wiele swoich spraw do załatwienia. Wrócił do rodziny oraz żony i niemal już rocznego synka. Musiał poszukać mieszkania, długo chodził i „deptał”, a że deptało w owym czasie wielu i to w zupełnie innych sprawach, musiał wydeptać ścieżkę, zanim otrzymał pokój z kuchnią, marzenie każdego młodego żonkosia. Otrzymawszy mieszkanie, zajął się przeprowadzką do niego żony, która pracowała w sąsiednim mieście jako przedszkolanka, a następnie znaleźć jej pracę, co też nie było takie łatwe. Uporawszy się z tymi kłopotami postanowił ochrzcić syna, który przebywał u rodziców żony w leśniczówce. Matka czekała z chrztem, ponieważ nie orientowała się w formalnościach nowej wiary. Ustalili, że syn zostanie w leśniczówce tak długo, dopóki oni nie zorganizują sobie życia.

Rafał już dawno wybrał Leona jako chrzestnego, ale bał się powiedzieć go o tym, ponieważ nie wiedział, czy ten zechce, zajęty swoimi sprawami, a może już uderzyła mu do głowy sława dziennikarza, która rzeczywiście z każdym dniem rosła. Leon jednakże, gdy tylko Rafał go poprosił o przysługę, zgodził się natychmiast, a nawet ucieszył, że pozna mazurską rodzinę. Poza tym nadarzała się okazja obserwacji małżeństwa mieszanego i sprawdzenia, jak zachowa się w ogólnym pędzie wyjazdowym. Zapytał Rafała, kto będzie matką chrzestną. –

Inga, siostra żony, nauczycielka w szkole podstawowej we wsi pod Giżyckiem.

Ustalono, że chrzest odbędzie się w drugi dzień świąt i dopiero wtedy Leon pozna żonę Rafała i Ingę. zaproponował, aby dziecku dać imię Lech, jest to bowiem wymarzone imię w ich sytuacji. – Bo zobacz – mówił do Rafała – Lech założył państwo polskie, państwo Polan, ty swoim małżeństwem złączyłeś to, co rozdzieliły wieki, niech więc imię Twojego syna będzie symbolem narastającej i umacniającej się jedności nie tylko tych ziem z Polską, ale i ludzi, którzy wrócili do swego narodowego pnia. Niech i on zakłada nową rodzinę, na zawsze już złączoną z Polską.

Rozdział 5.

Inga z Renią stanęły w kącie zakrystii nie bardzo wiedząc, co robić. Rafał poszedł do kancelarii załatwiać formalności i choć zapoznał już Leona z żoną i matką chrzestną, Leon nie chciał nawiązywać z nimi kontaktu, obserwując ich wygląd i zachowanie. Patrząc na obie, trochę zastrachane i niepewne, nie mógł pojąć, dlaczego Rafał z takim uporem walczył o swój ślub – obie wydały mu się zwyczajne, przeciętne, jakieś szarzy. Wyglądały jak wróble na śniegu, gdy mróz wielki trzyma.

„No cóż – musiała to być jakaś wielka miłość, bo dopiero ona zamyka nam oczy na wygląd zewnętrzny i pozwala widzieć głębiej - i zwykle się nie myli. Trzeba będzie w stosownej chwili pociągnąć Rafała za język – jak to też było z tą ich miłością” pomyślał Leon, gdy ceremonia się skończyła i cała piątka ruszyła na przystanek PKS – u, by jechać na ucztę do leśniczówki.

Była oddalona od przystanku około kilometra. Przyjechali późno, mrok już zapadał. W domach zapalały się pierwsze światła. Szli w kierunku lasu, wieś zostawała w dole, na lewo. Rafał tłumaczył Leonowi:

- Byłem tu osiem miesięcy na praktyce. Nigdy nie przypuszczałem, że odejdę stąd nie sam. A teraz, widzisz, wracam, a raczej wracamy. I pomyśl: czy to nie dziwne? – wracam do rodziny. Trudno mi w to uwierzyć, ale przyznam ci się, że dobrze tu się czuję, w tej nowej rodzinie. Nawet z tą ich Umą / to taka staruszka/, która ani słowa po polsku nie umie, rozmawia mi się wcale miło. Zobaczysz, jaka to

ciekawa kobieta. Na Mazury przywiózł ją stary Zajac / tak się nazywał, za Hitlera przezwali ich Hase/ z Nadrenii. Była córką bogatego bauera, który ani myślał godzić się na jej ślub z robotnikiem, i to polskim. Ona jednak namówiła swojego Zajaca, aby uciekali, zgodził się, boć ucieczka to jedyny ratunek zajaca. Miał trochę uzbieranego grosza, kupili za te pieniądze „gdundszyk”, jak to oni tu nazywają, i całkiem dobrze sobie radzili. Ojciec mojej żony jest synem starego Zajaca.

- To widzę, że tradycji stało się zadość. Dziad przywiózł sobie żonę z kresów, a teraz jego wnuczka wyszła też za kresowiaka, boć ty jesteś Wilniuk. Dobra krew, muszą z tego małżeństwa wyrosnąć zdolne dzieci. Jak to dobrze, że ja jestem ojcem chrzestnym pierworodnego.

Rozdział 6.

Wchodzą do leśniczówki. A tam stół pełen potraw, cała rodzina w komplecie. Staruszka Uma wszystkich wita, za nią rodzice Heli i dwóch braci, Zieghard i Dieter. Leon czeka na boku, grzecznie, przygląda się ceremonii powitania. Szybko zostaje zauważony, Rafał przedstawia go rodzinie:

- To Leon Grudek, mój przyjaciel z lat szkolnych, a teraz ojciec chrzestny Leszka i kuzyn Inki, taki bowiem jest już zwyczaj w naszym kościele, że dwoje ludzi, trzymając dziecko do chrztu, stają się kuzynami.

- Ojej, zawołała Inga, to ja już nie mogę być pana żoną?

- Chyba nie, odpowiedział Rafał, ale on ma wujka księdza, nie będzie miał problemu, dostanie dispensę.

- No widzi pani, podchwycił Leon, więc niech się pani nie martwi, jestem do wzięcia – zaśmiał się.

Tych kilka prostych i niewyreżyszerowanych słów zyskało mu ogólną sympatię. Zaczęto zapraszać do stołu, tylko Hela siedziała przy płaczącym dziecku. Wkrótce i Uma nie wytrzymała, a za nią poszła utulać wnuka żona leśniczego. Dwaj synowie też gdzieś wyszli. Młodzi na chwilę zostali sami, a Rafał, widząc że rozmowa jakoś się nie klei, nalał wódki i zaproponował bruderschaft.

- Skoro jesteście kuzynami, to nie wypada, aby was cokolwiek krępowało. No więc Inka – to jest Leon, pamiętaj nie myl się, bo za każdą pomyłkę całus. Wasze zdrowie!

- Też mi kara, no nie, panie Leonie? – powiedziała Inka i spojrzała zalotnie, a jednocześnie trochę złośliwie i jakby z oczekiwaniem na reakcję Leona.

Leon zrozumiał to spojrzenie, przytulił Inkę i pocałował.

Rafał otworzył usta ze zdziwienia. – No wiesz, Inka! Ja myślałam, że ty jesteś nieśmiała, a tu widzę, że masz wcale niezłą szkołę. A i Leon, tak mi się zdaje, na studiach nie próżnował.

Ostatnie zdanie stropiło Inkę. Spojrzała na Leona, odsunęła się nawet nieco od niego, a policzki się zaróżowiły. Leon zrozumiał, że Rafał niepotrzebnie mówił o studiach i szybko zaczął naprawiać niezręczność. Wypili po kieliszku – i rozmowa znów nabrała rumieńców. Do pokoju jadalnego weszli bracia i ojciec, a za nimi kobiety, którym udało się wreszcie nakarmić i uspić małego.

Uczta zaczęła się na dobre.

Kilka kieliszków wódki rozgrzało biesiadujących. Zniknęła atmosfera sztynności, wszyscy zaczęli jednocześnie coś do siebie mówić, leśniczy wygłosił dłuższe przemówienie, ale nawet Inga nie rozumiała, o co mu chodziło, gdyż nie tylko mieszał słowa polskie z niemieckimi, ale gubił także sens. Aż tu spod pieca wypłynęła melodia „Stille Nacht, Heilige Nacht”. Uma, która dyskretnie wycofała się z biesiady, przypominała, że to przecież święta Bożego Narodzenia.

Melodię podchwycyło. Śpiewał i Leon, który bardzo tę kolędę lubił. Przypomniała mu studia i lektora, inwalidę ze Śląska, który, wymachując kikutem, uczył studentów tej melodii na lektoracie języka niemieckiego. Zapalono choinkę i zgaszono światło.

Rozdział 7.

Leon siedział twarzą do okna. Po lewej miał Inkę, po prawej – Rafała. Przytulił się do Inki, objął ją ramieniem, usta zaczęły lekko błędzić po jej rozgrzanym policzku i szyi. Za oknem była noc betlejemska, dziwna. Bliskość lasu, a więc i dzikich zwierząt, potęgowała uczucie dziwności, wzmagając nastroj. W dole, we wsi, także płonęły choinki. Wciąż ich przybywa. Utworzył się wianuszek, a ich migotliwe światło odbija się w wodzie jeziora. Leon coś sobie przypomina – wydaje mu się, że już kiedyś widział ten obraz. Zaraz... zaraz... Przetarł oczy, długo patrzy w stronę wsi. Powoli z podświadomości zaczyna się wyłaniać to dawne, raz już przeżyte.

„Szarzało. Pochyleni biegli skrajem lasu, nie wiedząc dokąd. Nagle usłyszeli strzał. Potem drugi, trzeci. Nie nasłuchiwali – pędem, ile sił w nogach, ciągle trzymając się skraju lasu, biegli – aby jak najdalej. Droga zaczęła piąć się w górę, przystanęli, aby zacerpnąć tchu. Rozglądając się po sfałdowanym terenie ujrzeli w gęstniejącym mroku kilka punktów świetlnych, do których przyłączały się co pewien czas nowe. Utworzyły koło, niby obwarzanek, taki, jaki przynosiła matka z jarmarku. Nie mając już sił biec dalej, a pragnąc za wszelką cenę uciec

z lasu, pobiegli, podtrzymując się wspólnie i potykając, na przełaj, prosto w środek świecącego koła.”

Tak, już wie. Co za radość! Oto przyszedł do niego pierwszy dzień pobytu na Mazurach. Wróciło tamto olśnienie ziemią, jej dziwami. Wrócił pierwszy strach, pierwsza niesprawiedliwość, jaką tu spotkał. Wrócił także Stasiek, odezwał się zza grobu, przebił swoją grubą warstwę ciemności i przyszedł.

- Inka, Ineczka, przestań na chwilę śpiewać – szepcze jej Leon. – Słuchaj, czy są tu gdzieś niedaleko groby zabitych z 1945 roku?

Inka przerywa śpiew, patrzy zdziwiona na Leona.

- A skąd ty o nich wiesz? Są – dwa. Jeden mojego najstarszego brata, a drugi sąsiada. Ale skąd wiesz? Rafał ci o nich mówił?

- Nie Rafał, Ineczko, nie Rafał. Jutro wszystko ci opowiem, ale i ty przyrzeknij, że opowiesz mi historię ich śmierci. - Poproszę papę, on to najlepiej opowiada. Jeżeli chcesz, może ci ją teraz opowiedzieć. On każdemu ją opowiada do znudzenia.

- Nie, Ineczko, jutro. Dzisiaj jesteśmy radośni, są święta, za oknami boża noc. A tamte sprawy nie były bożymi sprawami, nie mówmy o nich dzisiaj. Dobrze?

Rozdział 8.

Dlaczego Leon tak bardzo zafascynował się ciałem Inki? Przecież obok tylu kobiet siedział, tyle ciał znały jego dłonie.

I to imię. Jakieś boskie, wywiedziona nie z religii ludów śródziemnomorskich, ani z bliskiego i dalekiego Wschodu, Tylko z owego tajemniczego ludu Inków, których bóg był jednocześnie słońcem /przynajmniej Leon, na swój użytek, od tego ludu jej imię wywodził/.

Tak – Inka była słoneczna. Jak mógł nie zauważyć tego wtedy w zakrystii! Ta słoneczność to była niespotykana dotąd proporcja ciała, smagłość ud, delikatność, jakby lotność piersi, a jednocześnie jędrność właściwa tylko ciału, które na nic nie cierpi i nie poznało jeszcze rozkoszy zmysłowych. Była jak młoda, ledwie dojrzała sarenka, która wyszła na pierwsze spotkanie, rozgląda się trwożnie, rada by wrócić, ale instynkt przemożny już ją objął w swoje posiadanie i nie pozwoli odejść. Pójdzie za pierwszym rykiem kozła, będzie z trwogą ale i uznaniem patrzeć, jak biją się o nią, pozna więc swoją wartość, by z tym większą rozkoszą oddać się temu, który zwycięży.

Nie było w niej podejrzliwości ani fałszywego wstydu. Warunki, w jakich się wychowywała, były mało podobne do tych, w jakich wychowują się przeważnie dzieci. Nigdy nie otaczano jej opieką. Była

trzecim z kolei dzieckiem, po niej przyszło jeszcze na świat dwoje. Matka, poddana zupełnie woli ojca i całkowicie mu podległa, nie miała czasu na zajmowanie się dziećmi już urodzonymi, gdyż albo rodziła nowe, albo była w ciąży. Natomiast krótki okres rekonwalescencji między porodem i nową ciążą mąż wykorzystywał na „ćwiczenie ręki”, bijąc ją gdzie popadnie, nawet i wtedy, gdy był trzeźwy, bez powodu i dla zasady. „Na wszelki wypadek – jak mawiał – gdyż z kobietami nigdy nic nie wiadomo”.

Dlatego nikt nie uczył jej prawd wiary. Wojnę przeżyła w leśniczówce, razem z ojcem, który już w roku 1941 wrócił z frontu wschodniego jako inwalida, z usuniętym prawym płucem i postrzelanymi nogami, zaś pierwsze lata po wojnie miały swoją filozofię i religię, jakże odmienną od powszechnie głoszonych. Dopiero w szkole zobaczyła pastora, przez rok w niemieckiej, a po wojnie już polskiej. Zresztą i on uczył krótko, ledwie poznała podstawowe zasady wiary, które przez kilka lat zdążyła zapomnieć. Było to dziecko natury, wyczuwające odruchowo, czego robić nie należy. Brak w niej było pruderii, świętoszkostwa, silenia się na pozę. Instynktownie wyczuwała, że ktoś jest jej przychylny, i tego darzyła zaufaniem. Leon w ciągu jednego dnia pozyskał jej sympatię.

Rozdział 9.

Rano, gdy Leon obudził się i umył, powitały go przyjazne głosy aż czterech kobiet. Dwie mówiły „Guten Morgen”, dwie „Dzień dobry”. Tak go to uderzyła, że aż przystanął, by przyjrzeć się tym niewiastom, krzątającym się po mieszkaniu.

Sprzątały, paliły w piecu, myły naczynia. To były ich święte czynności, wykonywały je z godnością i spokojem. Były same, wiedziały, jakie jest ich posłannictwo. Spełniały je ochotczo i z nadmiarem – tu, przy naczyniach, i w objęciach mężów. Uma była spokojna i zamyślona. Ta noc, która nas wszystkich ogarnie, już brała ją w swoje posiadanie. Może tylko ona przespała noc bez marzeń, zresztą – kto to wie? Żona leśniczego uśmiechem zadowolenia i płynnymi ruchami ciała mówiła, że doznała tej nocy zaspokojenia. Brała od mężczyzny jego siłę z umiarem, z umiarem też poddając się jego pieśczołom, skąpym i zamierającym. Było to już bowiem późne lato, które coraz rzadziej

obdarza nas nocą czerwcową, jeszcze tylko czasem zabląkaną wśród postępującego chłodu. Helga, którą Rafał i Leon nazywali Helą, nie uśmiechała się. Zapatrzona w siebie, zmęczona, tylko ruchami rąk, które jeszcze zdawały się chwytać spocone ciało jej drogiego mężczyzny, oczami, z których patrzyła namiętność, mówiła: „Za mało tej nocy dla mnie, pragnę następnych i następnych, aż po kres możliwości, po stan zupełnego zamroczenia i absolutnego zmęczenia, takiego, po którym przychodzi już tylko – sen.

A Inka? Ta spała jeszcze. Spotkały się ich oczy i ich marzenia. Tak – ci dwoje wiedzieli, że powinni być sami. Znajdowali się jednak wśród ludzi i byli ludźmi, a tym, jak wiemy, potrzebne są obrzędy.

Przy śniadaniu Leon zapytał leśniczego o to wydarzenie, które w tak tajemniczy sposób przypomniało mu się wczoraj. I gdyby wiedział, że tamten tak na nie zareaguje, zrezygnowałby z pytania, szukając wyjaśnienia gdzie indziej. Pytanie jednak już padło i trzeba było wysłuchać długiej, przepelnionej goryczą mowy, której leśniczy nie pozwolił sobie przerwać, od czasu do czasu jedynie racząc się wódką, by nie stracić rezonu.

- Dobrze, że się pan o to zapytał, a jeszcze lepiej, że pan słyszał strzały i widział te Mazurki, które przyszły do sołtysa na skargę. Mówił mi wczoraj Rafał, że jest pan dziennikarzem, to niech pan opisze w gazetach to, co panu powiem.

Rozdział 10.

- Mój ojciec, który nazywał się Zając, w Plebiscycie o polskość walczył. Ja wtedy byłem siurkiem i niewiele pamiętam. Wiem tylko, że po przegranej była u nas bieda, ojciec zachorował i po długich cierpieniach zmarł. Przed śmiercią, gdy już wiedział, że się przed nią nie obroni, zebrał nas przy sobie i powiedział: „ Ja za kilka dni umrę, wiele się nacierpiałem w tym życiu. A nacierpiałem się dlatego, że wszędzie mówiłem, że jestem Polakiem. Moi, a więc i wasi pradziadowie, przywędrowali tu z północnego Mazowsza przed wiekami, żyli po polsku i z imieniem Polski na ustach umierali. Może nie wszyscy, bo byli i zaprzańcy, ale o tych dzisiaj nie mówię i nie chcę, abyście i wy o nich przed waszą śmiercią wspominali, a jeżeli, to tylko ze wzdrgną. Bo nie ma gorszej zdrady, jak zdrada własnego narodu w chwili, gdy on jest biedny i męczony. Teraz nastały dla was trudne czasy, ale ja życzę sobie, abyście mi przyrzekli, że swej polskiej narodowości nie zdradzicie i nie pójdziecie na lekki chleb renegatów.” Niewiele my z tego rozumieli, nie miałem więcej jak dziesięć lat. Ale zapamiętałem jego słowa i dzisiaj je panu powtarzam tak, jak mówił.

Po śmierci ojca chodziłem do niemieckiej szkoły, ożeniłem się z Niemką i sam już za Niemca się uważałem. Język polski znikł z naszego domu, ja sam go prawie zapomniałem. Za Hitlera przezwali mnie Hase, to i zostało się tak.

W roku 1939 nie brałem udziału w wojnie z Polską, gdyż gajowi byli potrzebni, a i na wojnie jakoś szybko sobie beze mnie poradzono. Dopiero zmobilizowali mnie w 1941 roku, kiedy szykowali się do uderzenia na Rosję. Pożegnałem się z rodziną, bo już mi się wydawało, że nie wrócę. Wróciłem jednak – bez płuca i z postrzelanymi nogami, tak że długo chodziłem o kulach. Po powrocie do domu znów sadziłem świerki i buki i doglądałem zwierzyny. Front zbliżał się bardzo szybko, słyszałem strzały. Wiedziałem, że idą Rosjanie, a z nimi i Polacy. Niemcy zaczęli uciekać, zrobił się ścisk na drogach, bo Hitler zabronił wyjeżdżać, że niby tu wróci. Dlatego wielu nie zdążyło wyjechać, zostały też kobiety, których mężowie byli na wojnie, no i ci, co czuli się Polakami. Do tych i ja należałem. Przypomniało mi się wszystko, co mówił przed śmiercią mój ojciec, więc powiedziałem sobie: gdy przyjdą Polacy, powtórzę im to, co pamiętam, opowiem o cierpieniach ojca za to, że walczył w czasie plebiscytu o Polskę, to i nie będą nas ruszać, a może jeszcze nagrodzą. Na wojnie przeciwko Polsce nie walczyłem, grzechów żadnych w stosunku do Polaków nie mam, chyba mogę siedzieć cicho i czekać.

Leon, widząc że zanoszi się na dłuższą opowieść, chciał przerwać leśniczemu tym bardziej, że siedzący przy stole zaczęli się niecierpliwie, chciano bowiem iść na spacer do lasu by zobaczyć groby zabitych. Podniósł kieliszek i powiedział: „Panie leśniczy, no to wypijmy...”, gdy ten spojrział na niego i rzekł: „Jeżeliś pan prosił, abym opowiadał, to teraz nie przerywaj, bo drugi raz nie opowiem. Zaraz skończę.”. Leon wycofał się i słuchał dalej.

- Mówiłem, że mogę czekać. Ale gdzie tam! Wojska to my prawie nie widzieli. Dopiero po kilku miesiącach rozeszła się okropna wieść, że Polacy rabują, zabijają jeżeli się ktoś broni, o nic nie pytają, żadne dokumenty polskości ich nie interesują. Wszystkich bez wyjątku nazwano Szwabami, wymyślano od hitlerowców. A przecież nie wszyscy byli hitlerowcami, nie było ich zresztą wielu. Władza polska nie potrafiła zaprowadzić porządku. Po Mazurach poszło wielkie oburzenie, zaczęliśmy uciekać do lasu i kryć swoje mienie. Bo niech pan pomyśli – czy to nasza wina, że Hitler ileś tam milionów Polaków wymordował? Proszę nie przerywać – ja wiem, że to wina narodu niemieckiego, który pozwolił na te zbrodnie, który wyhodował w sobie tyle nienawiści i tyle okrucieństwa. Ale przecież sami Niemcy nie uznawali Mazurów za Niemców, mieli z nimi w ciągu wieków dużo

kłopotu, nie wszyscy dali się zgermanizować. Ci, co zostali wierni, i ci, którzy szybko by odzyskali swoją świadomość polską, przerażeni tym, co zobaczyli, szybko się wycofali i przyjęli pozycje Niemców, skoro nie mogli znaleźć zrozumienia u tych, których uważali za swoich, za współziomków.

Ukryłem się i ja z innymi w lesie z dobytkiem, mój najstarszy syn Fridrich pilnował na skraju lasu, czy nie zbliżają się bandyci. Gdy ich zobaczył, zaczął biec, by nas ostrzec, bo mieliśmy broń i chcieliśmy strzelać. Ale dojrzeli go, takie syny, i zastrzelili. Przybiegłem ratować, umarł mi na rękę. Długo zostałem przy ciele nieprzytomny z rozpacz, szesnasty rok mu szedł. Przynieśli mi jeszcze jednego, Kowalski się nazywał. Tak, Kowalski, niech się pan nie dziwi, staruszek już był, zaczął im po polsku wymyślać, bronił dobytku, więc go najpierw skopali, a gdy puścić się swojego konia nie chciał, zastrzelili jak psa. Swoich ludzi zabijaliście, a przecież to oni mogli stać się solą tej ziemi. A tak użyźnili ją tylko, jakby jeszcze mało było ludzkich trupów, jakby potrzebni byli jeszcze i ci, ostatni ze sprawiedliwych. Po takich gwałtach nic dziwnego, że zostali tu tylko Niemcy. I ja też jestem Niemcem i do Niemiec wyjadę, choć mnie ten wasz zasrany przewodniczący Powiatowej Rady Narodowej, który po polsku gorzej niż ja mówi, puścić nie chce i dopiero teraz zaczyna udowadniać, że jestem Polakiem, bo mój ojciec Zajac się nazywał i w plebiscycie za Polską się opowiedział. Ale niech on mnie nie poucza, ja o tym lepiej wiem niż on, ale do Niemiec wyjadę, choćbym miał wszystkie majątek stracić, są jeszcze u was tacy, co za forszę nawet do nieba gotowi wysłać największego grzesznika. Rentę wojenną mi tam dadzą i będę żył, nie troszcząc się o starość.

No – napijmy się, panie dziennikarzu. Nie patrz pan tak na mnie, ja nie jestem taki groźny. Tylko proszę, ja tu opowiedziałem panu jak swojemu, niech pan nie robi z tego użytku i nie przeszkadza mi przy wyjeździe, zresztą i tak pan nie wie, komu ja za to zapłacę.

Skończył. Leon był tak wzruszony opowieścią leśniczego, że nie próbował oponować, choć wiedział, że ten niejedno pomieszał, wielu spraw po prostu nie rozumiał. Zgadzał się jednak z leśniczym w jednym: dziś już za późno, aby naprawiać błędy – można tylko nie popełniać następnych i powoli, bardzo powoli ratować tych, którzy zostaną. Nade wszystko ratować młodych, takich jak Inga i Helga, jak Zieghard i Dieter, którzy mogą przeciwstawić się woli rodziców i nie pojechać z nimi, a wtedy kto wie – może i rodzice zostaną?

Tak myślał, nie mówił już jednak nic, czekając na sposobniejszą chwilę. Dzisiaj, gdy wszyscy byli zdenerwowani słowami leśniczego, nie by nie uzyskał. Przeczuwał, że w tym domu rozegra się dramat między

młodymi i starymi, między tymi, którzy pragną odejść, a tymi, którzy chcą zostać. Po jednej stronie stanie miłość, po drugiej – wola rodziców. Dopomoże przy decyzji brak określonego poczucie świadomości narodowej, a taka chwiejność sprzyja konformizmowi.

Rozdział 11.

Po śniadaniu młodzi wybrali się do lasu. Leon zaproponował, aby najpierw odwiedzili groby.

- Wiem, że dla was to ból. Ja chciałbym jednak te groby zobaczyć, aby sprawdzić, czy one wyglądają tak samo, jak te w lasu obok naszego pola.

I Leon opowiedział im o rozstrzelaniu dwóch Polaków przez Niemców. Stanęli na niewielkiej polanie. Dwa proste świerkowe krzyże. Groby starannie utrzymane, na tabliczkach napis w języku niemieckim:

Hier ruhen in Gott:
Hans Kowalski und Friedrich Hase,
zabici przez tych,
na przybycie których
czekali długie lata,
12 lipca 1945 roku.

Świerki, rosnące na zboczu, okalały to ciche miejsce spoczynku, tworząc niejako amfiteatr.

Leon, patrząc się na groby niewinnie zabitych, zapytał stojących obok:

- Jaki wyrok wydałybyście na tych, którzy ich zabili?

Odpowiedziała Inka:

- Chyba taki, jaki wydał już papa przy śniadaniu – są winni.

- No dobrze. Ale czy odróżniasz rodzaj ich winy? Czy możesz ze spokojnym sumieniem powiedzieć, że był to tylko mord, spowodowany chęcią zysku, czy też ręka ich zabijała w poczuciu dobrze spełnionego obowiązku, w poczuciu wyrównania krzywd, w imię hasła: „Zabijaliście nas, mordowaliście nasze bezbronne rodziny, nasze dzieci, a teraz jest czas rozrachunku, czas zapłaty. Chciałbym, abyś i ty, i twoja siostra, twoi bracia i wszyscy młodzi, którzy widzieliście, jak ginęli Mazurzy, abyście wszyscy zrozumieli, kogo należy tu potępić.

Gdybyście mnie zapytały, czy ci właśnie, przez których wasz brat i sąsiad, i tylu jeszcze innych musieli odejść w samotność ziemi, odpowiedziałbym: - Są winni, jeżeli mordowali dla zysku. Są także winni, jeżeli mordowali w imię sprawiedliwości dziejowej, gdyż nie oni powinni wymierzać ją światu. Są winni w sumieniu w obu

wypadkach, jednakże w pierwszym odpowiadają całkowicie i bez prawa do zrozumienia ich, w drugim zaś można i należy ich zrozumieć, zrozumieć nawet aż do uniewinnienia. Działali bowiem w rozpacz i za ich czyny odpowiadają ci, którzy sprawili, że rozpacz taka i taka nienawiść mogła się w ich sercach narodzić. Bo nie proch jest winien, że wybucha, bo taka jest jego natura, ale ci, co go podpalają. Bądźmy jednak rozsądni i zgodnie z faktami powiedzmy: wiele złego sprawiła tu chęć zysku i niezrozumienie skomplikowanych problemów narodowych. Chłop z Mazowsza, Kurp męczony przez Mazura – renegata czekał na chwilę odwetu i nic dziwnego, że tak właśnie postępował. Tak – usprawiedliwiam ale i potępiam, bo wiem, kto za co powinien być odpowiedzialny. Nie wszyscy, także i dzisiaj, gdy dokonujemy obrachunku i wymierzamy sprawiedliwość winnym, mogą być ukarani. Mało – bezpośredni sprawcy mordów zbroją się znowu i gotowią do nowych zbrodni. Wasz ojciec do nich się właśnie wybiera. Dlatego nie mówię tego, co przed chwilą powiedziałem, do niego, bo wiem, że i tak albo tego nie zrozumie, albo już nie chce zrozumieć. Mówię natomiast do was, bo wy powinniście to zrozumieć, rozumiejąc zaś, odpowiednio zdecydować o swoim losie.

Nie odpowiedzieli. Inka i Hela stały patrząc się na groby, na świerki stojące bez ruchu. Słońce wyszło zza chmur i rozświetliło ten ponury zakątek leśny. Leon, rozumiejąc, że już nic więcej mówić nie należy, że chyba zdołał choć w części zrównoważyć to, co powiedział ich ojciec, zaproponował powrót do leśniczówki.

Rozdział 12.

Dni, jakie nastąpiły po wizycie Leona w leśniczówce, były dla niego pełne radości. Często odwiedzał Inkę w leśniczówce, która w okresie ferii zimowych była u rodziny, a gdy wyjechała na wieś, przyjeżdżała do Rafała, gdzie teraz bywał Leon. Zwykle spotykali się w sobotę i niedzielę, czasem wyjeżdżali wspólnie z Rafałem i Helą do leśniczówki. Przeważnie siedzieli w mieszkaniu Rafała, spędzając czas na rozmowach i nauce języka niemieckiego, ponieważ Inka dobrze знаła ten język. Wspólnie też czytali Heinego, poetę miłości – był to niekończący się dialog ich serc. Leon, znając poezję tego romantyka z przekładów, dopiero teraz mógł ocenić jej piękno. Zrozumiał, że przekłady zubożały jego poezję, nie oddawały ani bogactwa języka, ani piękna skojarzeń i metafor, nie wydobywając tego, co było ich urokiem – klimatu dziwności i ciepła, jaki z nich promieniował nawet wtedy, gdy poeta mówił o śmierci i odejściu miłości.

Rosło ich uczucie, o którym wiedzieli oboje, którego jednak jeszcze nie wyrazili słowami. Leon czekał do wiosny, która rozwiązuje języki, ponadto chciał sprawdzić, jaki będzie przebieg walki Inki z ojcem, który nie przestawał starać się o wyjazd. Wierzył, że uczucie, które się między nimi rodzi, pokrzyżuje jakoś plany ojca i sprawi, że Inka nie wyjedzie. Bał się o nim mówić wprost, aby go nie spłoszyć, gdyż zdawał sobie sprawę, że Inka nie zdecyduje się łatwo na pozostanie z nim. Mimo częstego z nią przebywania nie udało się zlikwidować dystansu, z jakim się do niego odnosiła, podkreślając różnicę wykształcenia i odmiennosć ich środowisk. Wiedział, że najpierw musi przełamać w niej ten dystans, by móc swobodnie rozmawiać o uczuciu i wspólnych planach. Chciał powoli przygotować ją do przyjęcia jego miłości, wzbudzić w niej pragnienie przebywania w tym świecie, w którym on przebywał. Była osobą skrytą, rzadko mówiła o sobie i o swoich przeżyciach. Odsuwała się gdy zauważyła, że komuś przeszkadza lub ktoś traktuje ją lekceważąco. Leon jednak wierzył, że musi zwyciężyć miłość, ale też wiedział, że musi być wspólna i działać z jednakową siłą. Należało czekać.

Ale czasu na czekanie nie było wiele. Rafał co pewien czas informował Leona o przygotowywaniach leśniczego do wyjazdu, który wyprzedawał się z mebli i dobytku, by mieć pieniądze na łapówki dla urzędników. Inka była teraz mniej radosna niż zwykle, bardziej zamysłona. Spotykali się rzadziej, Leon coraz dłużej przebywał w Olsztynie, załatwiając pilne sprawy redakcyjne. Wyglądało na to, że będzie musiał przenieść się tam na stałe, pożegnać plebanię i proboszczowskie obiady. Zniknie też możliwość częstego spotkania się z Inką. Pozostaną tylko soboty i niedziele, a to za mało, by rozwijać w niej uczucie. Marzył, że w wakacje uda mu się ostatecznie przekonać ją do pozostania w kraju, przenieść do Olsztyna i jakoś zdobyć mieszkanie.

Rozdział 13.

Jednak rzeczywistość nie chciała dostosować się do jego marzenia.

Okazała się groźna i

nieustępliwa. W kwietniu Leon dowiedział się od Rafała, że leśniczy uzyskał wreszcie pożądane pozwolenie na wyjazd z rodziną, oczywiście bez Helgi. Wyjazd planowano w początku maja.

W ostatnią niedzielę kwietnia Leon przyjechał do Mrągowa, by spotkać się z Inką. Nie było jej u Rafała, pojechała z Helgą do leśniczówki, by wziąć udział w naradzie rodzinnej. Został tylko Rafał, który siedział osowiały i zły.

- Nie mam już żony i syna! - zawołał, gdy się przywitali. Pojechali do rodziców, Hela jest bardzo niespokojna, klócimy się często, nie może przeżyć perspektywy, że zostanie tutaj bez rodziny. Idę tak daleko, że radzę jej, aby wzięła ze mną rozwód, wtedy uzyska pozwolenie na wyjazd, a później jakoś to się ułoży. Ale ona ma inną koncepcję: abym pojechał z nią, jeżeli nie uda się teraz, to w przyszłości, niby na urlop, w rzeczywistości, by tam zostać na stałe. Na to absolutnie nie mogę się zgodzić, jednak nie chcę jej krępować. Powiedziałem: masz swoją wolę i rozum, rób jak uważasz. Odpowiedziała, że beze mnie nie pojedzie, że mnie kocha i chce być ze mną. Mówiła, że nie żałuje ani rodziców, ani braci, żal jej tylko Ingi, bo bez niej będzie tu samotna. Nie ma koleżanek, bo nie lubi plotkować, a ja jestem ciągle w terenie. Mówiła także o tobie, o połączeniu was, bo wtedy Inka może by została. „A wtedy niech wszyscy jadą, bylebym miała blisko Ingę i Leona, bo tak ich lubię, że nie wiem, jak będę mogła żyć, gdy ona wyjedzie do Niemiec, a Leon do tego Olsztyna, z którego już tak często nie będzie przyjeżdżał”. I wiesz – wydaje mi się, że ona ma rację. Inka chyba rzeczywiście cię kocha. Ostatnio, gdy była u nas, często pytała o ciebie, o twoje plany. Wiesz, że jest skryta, nie powiedziała więc wprost, o co jej chodzi, ja jednak, wyczuwając to, powiedziałem: - Inka, zostań z nami, Leon ożeni się z tobą, nie znajdziesz tak dobrego człowieka, jak on.

I myślisz, że zaprzeczyła? Odpowiedziała tylko: - Leon nie ożeni się ze mną, nic mi jeszcze nie mówił, wyjechał do Olsztyna i pewnie zapomniał o mnie. Zresztą papa nie pozwoli mi zostać, próbowałam go wybadać. Powiedział, że jeżeli zostanę, wyrzeka się mnie na zawsze. Zaczął mi udowadniać, że moje miejsce jest tam, w Reichu.

- A jak ty myślisz, gdzie jest ten twój „Reich”? - zapytałem.

- Nie wiem i nie obchodzi mnie to w tej chwili. Wiem jedno: nie chce mi się jechać. Mimo to myślę, że tam byłoby mi lepiej, że mogę później żałować, iż nie pojechałam.

- Rób jak chcesz. Masz własną wolę, nie chcę wpływać moimi radami na twoją decyzję. To o Leonie powiedziałem, bo uważam, że interesujecie się sobą.

Więcej już nie mówiliśmy o tobie, myślę, że to ty powinienesz z nią o tym mówić, jeżeli rzeczywiście ją kochasz. Dzisiaj nie masz po co jechać do leśniczówki - mają oni inne sprawy do omówienia. Radzę ci - zaczekaj do jutra, dam ci motor, pojedziesz do niej na wieś, tam pogadacie w spokoju. Zobaczymy także, co powie Hela, która wraca dzisiaj wieczór.

Leon posłuchał przyjaciela, nic innego mu nie zostało.

Rozdział 14.

Wiadomości z leśniczówki nie były pomyślne. Hela wróciła z Leszkiem wzburzona.

- Pokłóciłam się z papą. Namawiał mnie, abym opuściła ciebie i pojechała z nimi. Powiedział, że przyspieszy rozwód, że stać go na to, aby za to zapłacić, że nie pozwoli, aby jego córka została tutaj, pośród obcych. Rozgniewało mnie to, odpowiedziałam, że ani ty, ani Leon nie jesteście dla mnie obcy, że czuję się z wami lepiej niż z nim. To znów obraziło jego, zaczął mi wymyślać, próbował nawet bić. Powiedziałam, że ze mną nie pójdzie mu tak łatwo jak z matką, że nie mam ochoty płakać po nocach, ani nadstawiać karku pod jego rądy. Niech sobie jedzie i da mi spokój. Matka i Upa zaczęły płakać, Inka także. Nie stanęły po jego stronie, ale ja wiem, że oni wszyscy z nim pojedą, także Inga i chłopcy. Powiedział mi Zieghard, że w tajemnicy przed rodziną wziął ślub z Gerdą, która już wyjechała i która miała mu pomóc w wyjeździe, jeżeli ojciec nie uzyskał by pozwolenia. Nie pojedę już do nich więcej, chyba że ojciec mnie przeprosi.

Leon zapytał, czy Inka zdecydowała się ostatecznie na wyjazd.

- Nie wiem jakie jest jej ostateczne zdanie. Wysłałam zaraz po kłótni z ojcem, prosząc, by wyszła ze mną. Ona jednak została, bo jutro musi być w szkole, ma lekcje. Moim zdaniem pojedzie z nimi, choć do mnie w tajemnicy mówiła, że zostanie. Jednak przy ojcu nic nie mówiła o pozostaniu, bała się jego zdenerwowania. Poza tym nie bardzo wie, czy ty ją kochasz i czy się z nią ożenisz, choć i ona też nie jest na to przygotowana. Boi się, że ty nie będziesz z nią szczęśliwy, zbyt wiele was dzieli. Co ja mogłam jej odpowiedzieć, zbyt słabo znam wasze sprawy, zresztą to wy musicie zdecydować. Została sama ze swoimi myślami, jeżeli chcesz, jedź do niej jutro, może ciebie posłucha.

Rozdział 15.

Leon długo nie mógł zasnąć. Jechać do Inki czy nie jechać? Nie był to łatwy problem do rozstrzygnięcia. Powiedzmy, że Inka przyjmie jego miłość i zostanie. Czy nie bierze on odpowiedzialności za jej los? A może ten wyjazd to dla niej nowa i rzadka okazja do zwiedzenia innego świata, lepszego i bogatszego niż tutaj? Będzie mogła przeżyć to, czego tu nie dozna nigdy? Co da jej w zamian? Zamknie ją w czterech ścianach pokoju? Może po kilku latach dorobią się dwupokojowego mieszkania i kilku tysięcy pensji? A przecież i to nie jest ważne. Czym

wynagrodzi jej tęsknotę za rodziną? Są chwile, że miłość nie wystarczy, a wtedy odpowiedzialnością za niespełnione obietnice obarcza się tego, który nie sprostał zadaniu. Nie każdy przyjmuje swój los z determinacją i ma siłę, by z nim walczyć, i nie każdy umie się z nim pogodzić, gdy innej możliwości nie ma. I czy Inkę stać na to, by to zrozumieć, pogodzić się z utratą lepszego świata, który sama odrzuciła? Za mało ją zna, za szybko biegą wydarzenia. Leon po namyśle postanawia: pojedzie do niej, ale nie będzie się upierał, jeżeli zobaczy w jej oczach chęć wyjazdu. Powie jej wtedy: „Jedź, a jeżeli rzeczywiście mnie kochasz, wrócisz po kilku miesiącach pobytu, zwiedzisz przy okazji kawał innego świata. Wtedy się pobierzemy.” Zасыpiając, pomyślał z zadowoleniem: tak, to najlepsze wyjście. Niech i ona da coś z siebie, niech udowodni, że wraca dlatego, bo mnie kocha. Trzeba jej dać tę trudną szansę wyboru. Tylko przez sen, gdy już ginęła rzeczywistość, Leon pomyślał: czy jednak nie za wiele od niej wymagam? Może powinienem jej pomóc w decyzji, powiedzieć to twarde męskie słowo – zostań! Może to jest chwila, w której należy wybierać – miłość lub odejście, bo później nie będzie już wyboru? I co wtedy? Pozostaną narzekania na los, a przecież jest on ślepy i może właśnie teraz jest w ich rękach? Były to jednak problemy, które zginęły w rozkoszach zasypiania.

Rozdział 16.

Następnego dnia rano Leon wsiadł na motor i pomachał Rafałowi na pożegnanie. Jednostajna praca silnika, rytmiczne drgania karoserii i pęd, który zależał całkowicie od niego, którym mógł kierować zupełnie według swojej woli – wróciły mu równowagę ducha i pewność siebie. Uwielbiał motor, tę zmyslną maszynę, dzięki której, za pociągnięciem rączki gazu i dźwigni zmiany biegów, pędził w przestrzeń i pokonywał nierówności terenu. Brał wiraże przechylony do granic możliwości, rozkoszował się ryzykiem wywrócenia maszyny i jednocześnie doznawał satysfakcji, gdy motor wracał do normalnej pozycji. Czuł się jak głównodowodzący na froncie, który, wydając rozkazy, widzi jednocześnie ich spełnienie. To prawda, że chęć dowodzenia na froncie była mu zupełnie obca, nienawdził wojny i wojska, dlatego tak uwielbiał martwy przedmiot, dzięki któremu mógł zaspokoić tkwiące w podświadomości pragnienie przywództwa.

Droga do Giżycka była kręta, niebezpieczna, zupełnie pochłonęła uwagę Leona i sprawiła, że na chwilę zapomniał, dokąd jedzie i jaka czeka go rozmowa. Dopiero w Wilkasach, gdy musiał się zastanowić,

gdzie skręcić, by trafić na właściwą trasę, wróciła niepewność i wczorajsze zmartwienia. Jechał zamyślony chwilami zapominając, że siedzi na motorze. Nagle usłyszał szczekanie psa i zanim zdołał się zorientować w sytuacji, już mocne szczęki kundla usiłowały chwycić go za nogawkę. Odruchowo kopnął go prawą nogą, motor zachwiał się i upadł do rowu, zanim Leon zdołał nim pokierować. Silnik wył jak opętany, szybko go zgasił i wtedy zorientował się, że jego prawa noga została uwięziona pod motorem, a on leży w pokrzywach. Na szczęście wufemka nie była zbyt ciężka, bez trudu wy dostał się i wyprowadził motocykl z rowu, któremu nic się nie stało. Jedynym skutkiem upadku było swędzenie po pokrzywach. Leon pomyślał: zły znak, rozmowa nic nie da.

Rozdział 17.

Inka przyjęła go zycliwie, ale chłodno. Jej pokój był umeblowany skromnie, parę niezbędnych sprzętów.

Leon po powitaniu wyczuł dystans, jaki wyrósł między nimi przez te parę tygodni. Nie powitała go jak zwykle czule, z radosnym uśmiechem, lecz siadła po drugiej stronie stołu i zapytała rzeczowo:

- Po co przyjechałeś? Jeżeli po to, aby mnie namawiać na pozostanie, to szkoda twojej fatygi. Wczoraj w domu już ustaliłam ostatecznie, że wyjadę.

- Inka, dlaczego tak chłodno do mnie mówisz? Wiesz przecież, że cię kocham i chcę, abyś została.

- Może tak i jest, jak mówisz, ale dlaczego do tej pory milczałeś? Było tyle okazji, ja czekałam, przyjąłabym wtedy ciebie z radością. Myślę zresztą, że nie będziesz po mnie rozpaczał. Nic szczególnego nas nie łączyło, trochę wspólnych spacerów, przytuleń i pocałunków, wieczorów spędzonych u Rafała. Nic dziwnego, że nie bardzo wierzę w twoją miłość. Jest to raczej chwilowa namiętność, fascynacja moim ciałem, która zniknie, gdy mnie zabraknie. Na to, by się przekonać, że tak nie jest, za mało już czasu. Widzisz – boję się zostać tylko dla ciebie. Choć kto wie – może bym i chciała, gdybyś wcześniej mi o swojej miłości powiedział. A jeżeli miałabym zostać, to tylko dla ciebie, bo ty właśnie jesteś dla mnie i ojczyzną, i narodem, i kulturą tego narodu.

- A szkoła, która cię ukształtowała, profesorzy w Liceum, piękno ziemi, na której żyjesz, jej przeszłość trudna i dzisiejszość jeszcze wprawdzie nie łatwa, ale heroiczna i już bogata w perspektywy. Jesteś na ziemi, na

której tworzy się nowe społeczeństwo, zawiązują się i kształtują nowe więzi społeczne, powstaje ciekawa kultura, wchłaniająca to wszystko, co dobre w kulturze tych ludzi, którzy tu przybyli i tu chcą żyć i tworzyć nowe wartości. Więc nie dla mnie tylko zostaniesz, ale i dla tej ziemi, która cię ukształtowała, dla tych jezior i lasów, dla tej zwierzyny, którą opiekował się twój ojciec, a którą po jego odejściu będzie się opiekował ktoś inny, równie czuły i równie gospodarny. Nade wszystko zostajesz dla tych grobów, które ukryły się wśród lasu i które zamknęły w sobie niejedną tajemnicę heroizmu i upodlenia ludzi, którzy byli wierni ziemi i swej przeszłości.

- Leon, mówisz bardzo ładnie, wiem że to potrafisz, ale proszę cię – przestań. Ja o tym wiem, ale wiem także, że muszę w tej chwili, zaraz zdecydować – zostać tu czy wyjechać? Nie zapominaj, że odjeżdżają moi rodzice i rodzeństwo, że jeżeli zostaną, to będę do nich tęsknić i kto wie – może żałować, że nie jestem z nimi, gdy mi napiszą, że jest im dobrze, że mają to, o co ja tutaj będę walczyć długie lata, tracąc daremnie siły na zdobycie rzeczy, przedmiotów codziennego użytku, wyczerpując się i zapominając o kształceniu siebie, o doskonaleniu się wewnętrznym, o tym, że istnieje inny świat, lepszy, wolny, w którym czuje się radość życia płynącą z faktu, że nie mną kierują rzeczy, które z trudem muszę zdobywać, ale ja dysponuję nimi zupełnie podświadomie, bo są mi podległe i bo taka jest ich rola. Więc powtarzam ci raz jeszcze: jeżeli zdecydowałabym się zostać, to tylko dla ciebie, bo jesteś dla mnie uosobieniem tego, o czym tak pięknie mówiłeś. Wiedz także i to, że dla mnie takie słowa jak patriotyzm, miłość ojczyzny, naród – są puste, bo nie wiem, jaką napelnić je treścią. Wychowałam się w różnych tradycjach i jeżeli dziś zastanawiam się, która z nich jest mi bliższa, to wybieram tę, którą wyniosłam z domu, choć sam wiesz, że niewiele tego było. Żał mi także tej tradycji, którą usiłowałam przyswoić sobie i którą, przyznając, polubiłam. Może jeszcze chwila, jeszcze kilka lat, a uznałabym ją za swoją, odkryłabym w niej to, co zaprzepaściła moja rodzina w chwili, gdy całkowicie przyjęła tradycję niemiecką i niemiecki sposób życia. Widzisz – za szybko to przyszło. Może i będę żałować, może masz rację, że moje miejsce jest tutaj, nawet wśród tej ubogiej ludności wiejskiej i wśród tamtych grobów w lesie. Nie sądź mnie zbyt ostro, gdy wyjadę, bo chyba mam prawo decydowania o sobie, mam także prawo zobaczenia kraju, o którym mi mówią, że jest moją ojczyzną, Faterlandem, jak to określa mój ojciec. Jeżeli okaże się, że ojczyzna moja jest tutaj i nade wszystko że moja miłość jest tutaj, to wrócę, przecież wolno mi będzie wrócić. A wtedy zobaczysz – będziemy bardziej szczęśliwi niż gdybym

została teraz, z pretensją w sercu, że nie wykorzystałam szansy zobaczenia innego świata i innego życia.

- No cóż, Inko, to jedź! Będę czekał, choć jakoś trudno mi w to uwierzyć, że wrócisz. Dopiero dzisiaj zauważyłem, że za mało jest w tobie tęsknoty za tym, co zostawiasz, za mało tej kultury, która cię zaledwie wykształciła, ale jeszcze nie przeniknęła.

- Zobaczymy, Leon. Może jednak tak nie jest, może ja w innej kulturze nie potrafię już żyć? Bądźmy więc oboje raczej dobrej myśli i pozwól mi tam pojechać. Nie chcę ranić rodziców, którzy i tak rozpaczają, że zostawiają jedną córkę. Gdy wrócę stamtąd, mniej to przeżyją. Więc do zobaczenia, Leon. Uśmiechnij się, bo kto wie, czy nie będziesz mnie jeszcze witał. Czy wyjdiesz na dworzec w Olsztynie, gdy będziemy wyjeżdżać? Rafał poda ci termin naszego wyjazdu.

- Nie wiem, Inka. Może i wyjdę, jeżeli uznam, że wytrzymam atmosferę rozstania. Więc do zobaczenia, tak jest lepiej. Do zobaczenia albo na peronie w Olsztynie, albo wtedy, gdy będę cię witał, wracającą z ziemi, o której przekonasz się, że nie jest twoją ojczyzną.

CZEŚĆ III

Olsztyn

Rozdział 1

Leon nie wyszedł na dworzec, by pożegnać Inkę i jej rodzinę. I nie dlatego, że bał się rozstania, ale z powodu wyjazdu do Warszawy w pilnych sprawach redakcyjnych. Pożegnanie z Inką na wsi było ich ostatnim widzeniem. Chcąc teraz zachować wiarę, że ona wróci, powtarzał po wielokroć tamte jej słowa pożegnania: „Do zobaczenia, Leon. Uśmiechnij się, będziesz mnie jeszcze witał?”.

Słowa te nie uspokajały go jednak, a smutek narastał. Do Mrągowa przyjeżdżał teraz rzadziej, na kilka godzin, aby spotkać się ze współpracownikami, którzy przesyłali korespondencje z terenu. Sam jednak pracował mniej i naczelny, który sprowadził go do Olsztyna i powierzył dział reportażu, dziwił się, że teraz, zamiast pisać więcej i rzeczy bardziej wartościowe, prawie wcale nie pisał problemowych artykułów, a tylko drobne notatki i mało interesujące reportaże, w których nie było już tego dawnego ognia, dającego się we znaki różnym tępakom.

Gdy naczelny pytał go o powód obniżenia lotu tłumaczył się, że i problem, który tak bardzo go interesował i dzięki któremu wyrósł, prawie znikł i że trzeba będzie przestawić się na pisanie o tym, co dzieje się tu i teraz, pokazywać rozwój gospodarczy, a wejście w tę tematykę zajmie mu trochę czasu, musi pojeździć po województwie, poznać specyfikę zmian gospodarczych, plany i założenia, aby tym lepiej i głębiej widzieć nieudolności w ich realizacji. Jednakże tylko sobie mógł powiedzieć – winne jest rozstanie z Inką i coraz bardziej słabnąca nadzieja jej powrotu.

W listach Inki była wprawdzie tęsknota za ziemią, nie było jednak ni słowa o powrocie. Nie pisała też nigdy osobnych listów do Leona, a tylko w listach do Heli i Rafała przesyłała mu zdawkowe pozdrowienia i ucałowania, jakieś słowa pociechy.

Nic dziwnego, że chodził po Olsztynie smutny i zły. Mieszkania też nie miał, ciągle przenosił swój skromny dobytek z miejsca na miejsce. Koczował tak przez kilka miesięcy, korzystając z uprzejmości kolegów, ciągle jednak szukał samodzielnego pokoju, do którego przywiezie resztę swoich rzeczy, a szczególnie książki, których sporo uzbierał w okresie studiów i których brak odczuwał boleśnie.

Któregoś dnia kolega z redakcji o dziwnym imieniu Florian poinformował Leona, że za miastem, tuż przy przystanku kolejowym, kilka kilometrów od Olsztyna, można wynająć spory pokój, w którym mogliby mieszkać wspólnie, płacąc po połowie. Propozycja nie była zbyt komfortowa, zwłaszcza dojazdy, ale dawała szansę na chwilowe ustabilizowanie się.

W połowie sierpnia Leon poczuł się wreszcie panem połowy pokoju i pojechali, aby zamieszkać. Pokój był spory, umeblowany, czysto utrzymany, stało w nim dwa łóżka. Mieszkanie właścicieli składało się z czterech pokoi, dwa zajmowali gospodarze, w pozostałym mieszkała już sublokatorka. Była też przestronna kuchnia i łazienka z ubikacją. Dojazd zajmował mało czasu, tylko jeden przystanek, na którym zatrzymywało się sporo pociągów jadących od strony Elbląga.

Wieczorem Florian zwierzył się koledze, że chce do Olsztyna sprowadzić swoją narzeczoną, która mieszka w Warszawie na Bielanych, gdzie uczy w szkole podstawowej.

- Jak ma na imię? – zapytał Leon.

- Imię na pewno Ci się spodoba, zgadnij.

- Nie wiem, no może Halinka, Basia, Franja, Eulalia, Hania, Agata, Jola i tak dalej, widzisz ile tych imion jest.

- Nie zgadłeś – Iza.

- Iza, powiadasz? To bardzo ładne i oryginalne imię. Izabella. Mój brat Stasiak, który utonął w mrągowskim jeziorze Czos w 17 roku życia, miał dziewczynę o tym imieniu. A ładna chociaż ta twoja Izabella?

- Wszyscy mi mówią, że raczej nie. Nigdy za piękność nie uchodziła. Mnie się jednak podoba, a szczególnie jej dłonie: kształtne, wysmukłe, jakby hrabiowskie.

- Patrzcie go – chłop z wiochy pod Rzeszowem a hrabiny mu się zachciewa. Masz szczęście, że brzydka ta twoja hrabianka, gdyż bym ci ją natychmiast poderwał, bo co mam wzięcie u kobiet, to mam – chwalił się Leon.

I jakby dla potwierdzenia swoich słów wyjął z portfela zdjęcie Inki, pokazał je ostentacyjnie Florianowi, który aż przysiadł z zachwytu /a może tylko tak się Leonowi zdawało/ i powiesił je nad łóżkiem.

- Może i ładna ta twoja Inka. Niedługo zobaczysz i moją Izę, przyjeżdża w sobotę. Może masz jakie skromne znajomości w Kuratorium – pomógłbyś mi w załatwieniu dla niej pracy?

- A wiesz, że mam, i to nie byle kogo, bo samego kuratora, to mój kolega z klasy. Jeżeli chcesz, jutro możemy do niego pójść – na pewno znajdzie się dla niej miejsce w którejś szkole. A gdzie będzie mieszkać?

- Jeszcze nie wiem, może uda mi się umieścić ją u koleżanki na kilka dni. Mówiła mi gospodyni, że będzie u niej niedługo wolny pokój po sublokatorce, która idzie na swoje mieszkanie. Jeżeli Iza się zgodzi, to tu ją sprowadzę.

- Wiesz, to wcale niezły pomysł – będziemy mieli żonę, zaśmiał się Leon.

Rozdział 2

Florian na przywitaniu Izy przygotowywał się starannie. Szczególnie dokładnie mył resztki swoich rudych włosów, trzymających się jeszcze rozpaczliwie z tyłu głowy. Najpierw szukał rumianku po aptekach, bo zioła te dodają włosom blasku i powodują ich zagęszczenie oraz przystość. Następnie trzeba je było zaparzyć gotującą wodą i odczekać, aż wywar nieco przestygnie. Leona śmieszyły te zabiegi – miał gęste ciemnoblond włosy, lekko falujące, nie musiał poświęcać im wiele czasu. Myjąc włosy Florek nie korzystał z wanny ani prysznica. Rozebrany do pasa zanurzał je w miednicy i trzymał czas jakiś, aby zabrały z wody wszystkie cenne olejki, następnie okrywał ręcznikiem i czekał aż przeschną. Leonowi ten sposób mycia przypominał dom rodzinny i matkę, która tak właśnie myła swoje włosy. Pomyślał: „Jakiś kobiecy ten Florek. I na piersiach nie ma owłosienia, jedynie pełno piegów, jakby w nagrodę za to, co natura mu zabrała”.

- To co – może zostawić cię samego z Izą, abyście mogli się sobą nacieszyć?

- Nie wyglupiaj się, ona jest bardzo moralna, już cztery lata się znamy, a ja nie widziałem jeszcze jej ciała w całej okazałości. Całujemy się najwyżej, a i to tak jakby wstydliwie, tylko w miejsca dozwolone. Nie dziw się – tak została wychowana. Mnie to nie przeszkadza.

- No to ja nic z tego nie rozumiem. Jak można cztery lata zawracać głowę dziewczynie i nawet jej namiętnie nie pocałować, nie mówiąc o reszcie.

- Kiedy widzisz – ona mnie za to ceni, że jestem taki stanowczy, potrafię się opanować. Ileż to już razy prowokowała mnie – i nic. Powiedziała mi kiedyś, że ta moja stanowczość jej imponuje, a ja po prostu chyba jestem jakiś oziębły. Boję się, co to będzie, jak zostaniemy małżeństwem.

- Chłopie, to ty jesteś po prostu impotentem, dajże więc spokój dziewczynie i nie udawaj zucha, bo to ani moralne, ani zdrowe fizycznie. Idź natychmiast do lekarza – seksuologa, który przepisze ci odpowiednie leki.

- Nie obraża mnie to co mówisz ani nie przeraża. Mimo tych moich ułomności jest nam ze sobą dobrze. Myślę, że jakoś się to ułoży i będziemy dobrym małżeństwem, statecznym, no i na pewno będziemy mieli dzieci, tyle ile Pan Bóg przykazał.

- Nie będę psuł ci dobrego humoru. Bardzo mnie ciekawi ta twoja dziewczyna, z niecierpliwością czekam na jej przyjazd.

Rozdział 3.

W sobotę Florian około południa pojechał na dworzec główny w Olsztynie, aby przywitać swoją narzeczoną i jej koleżankę. Proponował im odpoczynek po podróży w swoim pokoju, ale Iza uparła się, by najpierw zwiedzić miasto.

Leon kończył sprzątanie pokoju, gdy u państwa Domańskich odezwał się telefon. Dzwonił Florian: „Przyjeżdżaj zaraz do Olsztyna, będziesz mi potrzebny by towarzyszyć dziewczynom w zwiedzaniu miasta. Iza chce najpierw poznać miasto, jest z koleżanką. Czekamy w „Teatralnej”. Cześć.

Cześć to cześć – Leon ubrał się i pojechał.

Dzień był sierpniowy, słoneczny. Wysiadł na dworcu zachodnim, aby szybciej dojść do kawiarni.

Szedł w dół ulicy w kierunku ratusza. Przystanął nad Łyną w miejscu, gdzie dawniej był młyn. Obecnie tylko szumiała woda, spływając po stawidłach i z bryzgiem ginęła pod wiaduktem kolejowym. Na prawo stał dumnie Zamek. Jego czerwona ściana, prawie gładka, tylko tu i ówdzie widać było małe strzelnicze okna, ginęła w zieleni drzew. Tyłem do Łyny i Zamku ustawiono popiersie Kopernika. Odnosi się wrażenie, że wielki astronom odwrócił się plecami do budowli i rzeki, patrząc na północ, jakby wyczekując Krzyżaków. Napis na postumencie, jak zwykle w takich sytuacjach, głosił: „...bohaterowi, obrońcy Grodu... wdzięczni Rodacy”. Jakżeby inaczej – pomyślał Leon. Spojrzał na drugi brzeg Łyny, na podzamecze. Stał tam budynek szkoły muzycznej, cichy o tej porze, ale schodzili się pierwsi uczniowie. Dalej, dumna i z bujnie ukształtowanym przez młodego rzeźbiarza Wachowskiego biustem przeżyła się „Łyna – Dziewica”, z której leż za straconym chłopcem ponoć powstała rzeka, jak głosi podanie ludowe, a pani Maria Zientara - Malewska swoją powagą je wspiera. „Łyna” Wachowskiego nie płakała tego dnia, bo i po co? Ustawiono ją tu w miejscu zacisznym, wygodnym, z dala od ciekawskiej gawiedzi, która kiedyś, gdy ją tylko ustawiono, pokpiwała sobie z niej, że taka jakaś nietutejsza, o urodzie azjatyckiej, złośliwi twierdzili nawet, że egipskiej, no i nade wszystko, że tradycji w niej nie widać, bo nie płacze. Miejscowa sławna rzeźbiarka Świtycz-Widacka, która wykonała interesujący projekt pomnika ludowego poety Michała Kajki, upodobiła go do św. Józefa, twierdziła, ale to już pewnie przez zazdrość, że ona miała lepszy projekt „Łyny”, stojącej nad urwiskiem i płaczącej. Łyna Wachowskiego zwyciężyła, w czym pomógł jej wydatny biust i oryginalna uroda. Jurorzy pewnie pomyśleli, że taka „Łyna” to duża atrakcja dla miasta – i nie omylili się. Rzeźba wrosła powoli w krajobraz miasta i obecnie nikt już o „rzeźbioną pannę” się

nie spierał, natomiast wszyscy przychodzili i patrzyli, bo popatrzeć rzeczywiście było na co.

Patrzył i Leon. Przypomnił sobie jednak, że czekają na niego w „Teatralnej” żywe dziewice, szybko ruszył ulicą Wyzwolenia, minął ratusz, skręcił w lewo na ul. 1. Maja i już był w „Teatralnej”.

Rozdział 4.

Wszedł do niskiej, prawie pustej o tej porze, kawiarni. Siedzieli w głębi, widać było tylko łysinę Floriana i głowy. Leon zbliżył się do stolika i spojrzał z ciekawością na niewiasty - żadna mu się nie podobała. I nagle stało mu się zupełnie obojętne, co będzie dalej, która z nich jest Izą – czy ta już nieco starawa, z siwiejącym tu i ówdzie włosem, twarzą zmęczoną

/ nie – ta na pewno nie jest Izą/, więc ta druga, o wysokim, ładnie sklepionym czole, ale brzydkim nosie, grubym na końcu i rozplaszczonym, oczach może i ładnych, ale znów trudno w nich dopatrzeć się określonego koloru, kościach policzkowych nieco wystających, jak u Chinki i ustach szerokich, wypełnionych.

Florian wstał, przedstawił Leona. Panie również podniosły się, podały dłonie na powitanie. Leon najpierw ucałował dłoń tej, którą Florek przedstawił jako Lusię, natomiast dłoń Izy długo trzymał w swojej, przyglądając się jej. Była rzeczywiście zaskakująco piękna i jej właścicielka, gdyby nic więcej pięknego w sobie nie miała, te dłonie obroniłyby ją przed zarzutem brzydkiej. Mała, szczupła, o palcach chudych, ale nie tą chudością, która przeraża, i wysmukłych, spoczywała w jego dłoni jak młoda jaskółka, świeżo z gniazdka wyjęta. Była w niej ufność, a jednocześnie lekkie drżenie, jakby przestraszona, ale i prośba o delikatność dotyku. W dużej dłoni Leona ginęła całkowicie, ciepła i ufna. Trzymając ją czuło się, że należy do kobiety, która zna jej piękno i umie je pokazać.

Pierwsza nie wytrzymała Iza

- Co się pan tak przygląda mojej dłoni? Pewnie Florek naopowiadał panu różnych głupot.

Leon nie odpowiedział. Ruchem delikatnym, ale stanowczym, sięgnął po drugą, złożył obie i schował je w swoich. Dopiero wtedy powiedział: Pani Izo, te ręce są boskie, a nie jakieś tam hrabiowskie, jak je określał Florian, ten chłop spod Rzeszowa. Ale dlaczego w pani twarzy nie widzę nic boskiego? Choć zaraz – może jednak czło?

To mówiąc Leon podniósł jej dłonie i zakrył nimi podbródek, usta i nos.
- O własnie – tak powinna się pani pokazywać ludziom, a wtedy wszyscy mężczyźni oszaleją z zachwytem.

Iza zaczerwieniła się – chyba z zadowolenia. Pani Lusia patrzyła na Leona jakby zgorszona nieco, ale Leon zauważył w jej oczach zainteresowanie. „Słaba pociecha” – pomyślał. Natomiast Florek zupełnie zbaraniał. Stał z rękami opuszczonymi, wargi mu lekko drżały. Nie domyślał się pewnie, że można jednym gestem zdobyć kobietę. Leon więcej nie zwracał na niego uwagi, cały czas poświęcając Izie.

Nadal nie mógł uznać jej za piękną i nadal niewiele go obchodziła, jednakże jej ręce urzekły go. Zapomniał zupełnie o przyrzeczeniu, jakie dał wczoraj Florkowi, że mu ją odbije, powoli czuł, jak zadziwia go swoją inteligencją, umiejętnością prowadzenia dialogu, subtelnością głosu. Powiedział:

- Z taką kobietą rozmawiając grzechem jest tytułować ją panią – i poprosił o cztery lampki wina.

Wypili bruderschaft. Leon widząc, że rozmowa kuleje, nie miał jednak pieniędzy na zamówienie następnych i pragnąc Izę zobaczyć jak najszybciej „w pełnym świetle”, zaproponował przechadzkę wzdłuż Łyny, która tuż za miastem ginęła w świerkowym lesie.

Rozdział 5.

Szli pod górę po rozmokłej ścieżce. Florian z Lucyną poszli przodem, Leon natomiast został z Izą specjalnie zwalniając, by podenerwować kolegę. Przyglądając się jej zauważył, że jest w przydługiej sukience, która mimo to nie kryła jej lekko pałakowatych nóg. Skrzywienie było niewielkie, jednakże wprawne oko Leona zauważyło je od razu. To spostrzeżenie zniechęciło go do Izy, stracił humor i przestał się nią interesować. Iza, oglądana „w pełnym świetle”, traciła na uroku, gubiła się w krajobrazie. Leon przypomniał sobie spacer w lesie z Inką, proporcję jej ciała, lekkiego i zwinnego, które z taką łatwością, a jednocześnie wdziękiem umiało wkomponować się w każdy krajobraz, zawsze będąc jego dopełnieniem i uszlachetnieniem.

Szedł smutny, nie interesując się dziewczyną. To ją zdziwiło, szczególnie po zachowaniu się w kawiarni. Zapytała o powód tak nagłej zmiany nastroju. Odpowiedział:

- Jesteś temu winna, Izo. Przypomniałaś mi, że jeszcze nie tak dawno spacerowałem z kimś, kogo kochałem, a kogo już nie ma w Polsce i pewnie nigdy nie będzie.

- Kto to był, powiedz? Jakie miała imię?

- Inka, córka leśniczego, Mazurka. Wyjechała „nach Faterland”, do „Reichu”. Pojechała szukać ojczyzny, nie uświadamiając sobie, że właśnie ją straciła.

- A może ona do ciebie wróci? Przecież podobno tylu ludzi stamtąd wraca?

- No cóż – jeszcze i ja w to wierzę, ale coraz mi trudniej zachować tę wiarę.

- Ach, Leon – wróci czy nie wróci, nie przejmuj się tym aż tak. Nie chcę, abyś przy mnie był smutny. Zobacz – ledwie się poznaliśmy, a już cię polubiłam. Jak to dobrze, że tu jesteś, w tym mieście, które teraz nie będzie dla mnie takie obce. Jechałam tu z trudem, ta decyzja była dla mnie potworną męką. Nikogo bliskiego, oprócz oczywiście Florka, tu nie znałam.

- Powinien ci wystarczyć, zakochani podobno nie potrzebują towarzystwa – wtrącił Leon chytrze.

- Jeśli są naprawdę zakochani – powiedziała smutno i tak cicho, że Leon ledwie dosłyszał.

- Jak to – nie kochasz go? I przyjechałaś tutaj po to, aby za niego wyjść?

- Nie pytaj, dzisiaj i tak nic ci nie powiem. Może kiedy indziej. Za mało cię znam, choć jest mi z tobą tak dobrze.

Leon nie pytał, wiedział zresztą wszystko od Florka. Cieszył się, że pozyskał jej zaufanie i nie chciał zbytnią natarczywością niszczyć tego, co już osiągnął. Ponadto trudno mu było przezwyciężyć tęsknotę za Inką. Iza jednak starała się zatrzymać jego myśli przy niej, mimo to Leon pozostał do końca dnia smutny i zrezygnowany, co ją peszyło i denerwowało, bo czuła, jak w jej obecności zwycięża inna kobieta, która była obecna wśród nich zaledwie wspomnieniem.

Rozdział 6.

Iza z początkiem września zamieszkała u koleżanki w Olsztynie. Widywali się często, po pracy w szkole przychodziła do redakcji, wszyscy ją polubili. Była koleżeńska, potrafiła dyskutować, może czasem zbyt pewnie broniła swojego zdania i to nawet wtedy, gdy nie miała racji. To denerwowało nawet Leona, który ją polubił i nie chciał, aby mówiono o

niej źle.

Chodzili często do kina, oczywiście z Florkiem, który cieszył się, że jego narzeczona podoba się koledze. Leon nie wspominał o odbijaniu, powtarzał Florkowi, że Iza nie jest w jego guście. Jest oczywiście miła i w tym towarzystwie kobiet przewyższa je inteligencją i wdziękiem, na co Florek godził się z zadowoleniem. Panowała między nimi idealna harmonia, Florek uważał Leona za swojego najlepszego kolegę, a nawet przyjaciela, nie skąpił mu pochwał i był przez kolegę chwalony. W dowód przyjaźni powierzał koledze narzeczoną z prośbą o opiekę, gdy wyjeżdżał w teren. Leon prośbę spełniał obojętnie i starał się jak

mógł, by Iza nie narzekała na jego towarzystwo, a że mógł, to już najlepiej wiedziała ona, która z czasem wolała jego towarzystwo niż swojego narzeczonego. Tak to Leon, zanim się spostrzegł, stwierdził któregoś dnia, że Iza jest ciekawą dziewczyną i że warto jest zainteresować się nią bliżej.

Niemal zapomniał o Ince. Rzadko jeździł do Mrągowa i unikał Rafała, załatwiał sprawy i wracał do Olsztyna. Zawsze czekała na niego uśmiechnięta i radosna Iza, a gdy zostawał dłużej w Mrągowie i nocował na plebanii, dzwoniła do niego nie szczędząc czułych słów i zapewniając o tęsknocie.

Rozdział 7.

Któregoś popołudnia, gdy Florian pojechał do Warszawy na spotkanie pracowników z przewodniczącym PAX-u Piaseckim, Iza przyszła do redakcji, gdzie Leon często siedział dłużej, miał tu bowiem możliwość pracy i część własnych książek. Zaproponowała kawę, Leon zgodził się chętnie.

Zeszli na dół, do „Warmianki”, usiedli w ciemnym kąciuku i Iza zaczęła mu opowiadać historie swoich miłości, w których, ku zdziwieniu Leona, nie było zupełnie miłości do Floriana. Był natomiast jakiś Francuz, którego Iza wspominała ze łzami w oczach, znała bowiem francuski i miała nadzieję wyjazdu z nim do Francji. Było paru studentów, jakiś starszy pan, który jakoby jeszcze na nią czeka i kilku pomniejszych, nie wartych wspomnienia.

Leona zastanowiło, dlaczego Iza opowiada mu o tych swoich wielbicielach – czyżby chciała mu zaimponować? Zapytał jednak o jej stosunek do Floriana, aby wreszcie dowiedzieć się prawdy, gdyż rzeczywiście Iza zaczęła go coraz bardziej interesować – tego nie należało już przed sobą ukrywać.

Iza odpowiedziała:

- Nie kocham go i nie kochałam nigdy. Tkwi przy mnie już tyle lat, zaczęło się to jeszcze na pierwszym roku studiów. Nie lubiłam go, ale łąził za mną, nie odstępował na krok, pomagał w nauce i koledzy uznali, że jestem jego dziewczyną. Nie wiedziałam, co mam robić, byłam dla niego przykra, złościłam się, ostentacyjnie pokazywałam się z innymi – nie zrażało go to, twierdził, że zrobi wszystko, abym była jego – i tkwił nadal. Po kilku latach odwiedził moją rodzinę, a że jest spokojny i opanowany, ja natomiast ruchliwa i nie zrównoważona, rodzice uznali, że to jedyny dla mnie mąż. Mówili: „Taki mądry, zrównoważony, cierpliwy – akurat dla ciebie. To niebawem, aby mężczyzna czekał tyle lat nie mając dobrego słowa zapłaty”. Wtedy to wreszcie uległam,

dostał ode mnie to „dobre słowo”, które zresztą po kilku dniach cofnęłam. I tak to trwało: raz przyrzekałam, że będę jego żoną, potem odwoływałam, gdy się ktoś ciekawszy przy mnie pojawiał. Jego jednak nic nie mogło zrazić. Wiedział już, że prędzej czy później będę jego. Pozyskał rodzinę, akceptowała go bez zastrzeżeń. A rodzina, musisz to wiedzieć, ma na mnie duży wpływ, taka już jestem, że wolę sama cierpieć, niż gdyby oni cierpieć przeze mnie mieli.

- No dobrze, Izo – i ty chcesz za niego wyjść? Ot tak sobie, dlatego, że on podoba się rodzicom? Zachowujesz się jak pańszczyzniana chłopka, która nie ma własnej woli. O co więc chodzi, dlaczego zgodziłaś się tu przyjechać i odgrywasz tę komedię jako jego narzeczona? O ile wiem, jesteś wierząca, chyba orientujesz się, że jest to zwykła obluda?

- Może i obluda, jeżeli tak, to za nią odpokutuję. Wiem, że to już zbyt długo trwa i że teraz za późno, aby z tym skończyć. Ale jest mi z tym ciężko, bardzo ciężko! Czuję się już taka stara i nikomu niepotrzebna. Nie jestem nawet pewna jego miłości, te jego zaloty są jakieś dziwne, nie potrafi potraktować mnie jak kobietę, co najwyżej wypcha mi tę swoją łapę do majtek, nie znoszę tego, to takie pospolite i chłopskie. Ponadto jest coraz bardziej przykry, pragnie, abym mu służyła, prała jego bieliznę, słowem – traktuje mnie już jako żonę, a ja tego nie chcę, rozumiesz - nie chcę!

- Jeżeli nie chcesz, to dlaczego go nie zostawisz, przecież to mądry człowiek, zrozumie. Jeszcze nie musisz przy nim tkwić, później może być o wiele trudniej.

- Nie muszę, to prawda, ale też boję się odejść. Nie jestem młodziutka, ty też mówisz, że i niezbyt ładna, ani zgrabna. Nie wszyscy, tak jak ty, dostrzegają moje dłonie i może tę odrobinę inteligencji. Cóż mi pozostało? Czas podbojów minął, nie wykorzystałam go właściwie, także i przez Floriana, nigdy o tym nie zapomnę. Jak tu zresztą odejść, gdy w tym świecie, w którym żyję, wszyscy uważają mnie prawie za jego żonę, łącznie z nim. I tak to trwa, prawem bezwładności. Wiem dokąd dojdzie. Właśnie dlatego jest mi tak bardzo smutno, że wiem.

I Iza ukryła twarz w dłoniach, w tych swoich boskich dłoniach, które Leon uwielbiał niemal jak niebiańskie zjawisko. Co miał robić, jakie dawać jej rady? Pragnął powiedzieć: „Wybawię cię, tylko mi zaufaj.” Uważał jednak, że taka deklaracja byłaby nie na miejscu, że trzeba działać ostrożnie, otoczyć ją większą troską. Musi czekać na stosowną okazję, by porozmawiać z Florianem „po męsku”, bez niedomówień, uświadamiając mu, że „więzi” Izę, jak to na swój prywatny użytek określił.

Rozdział 8.

Wyszli z kawiarni, było już późno, powietrze przenikał lekki przymrozek, jak zwykle na początku grudnia. Leon objął Izę i mocno przytulił. Szli złączeni ulicą 1. Maja. Stanęli przy teatrze i kawiarni, zamkniętej o tej porze. Na ulicy świeciły się neony, pierwsze neony w Olsztynie. Po zaduchu kawiarni ten przemieniony, jakby nienaturalny świat wrócił Izę humor, zapomniała o tym, co mówiła w kawiarni, stała się rozmowna, rezolutna, tuliła się do niego coraz bardziej. Wreszcie ich dłonie spotkały się – i poszli zjednoczeni, a powoli przez ten pomost, który utworzyły dłonie, powędrowało uczucie przenikając każdy nerw. Ich usta spotkały się, stopiły w jedno. Dłonie Izy wędrowały po jego ciele, szukając miejsc czułych i spragnionych pieśczoły. Wszystko wokół stało się nagle nieważne, zapomnieli gdzie są. Całowała z zachłannością, przylegając do Leona, a jej usta i język elektryzowały go do zatraty świadomości.

Iza ocknęła się pierwsza. Spojrzała na Leona zamglonymi oczami i zaczęła płakać. Powiedziała: - Tak mi z tobą dobrze, kochany. Dlaczego nie możemy być razem?

- Ależ możemy, Izuniu, a nawet musimy, bo i mnie jest z tobą dobrze. Zobacz – patrzy na nas Jaracz, jest zadowolony i uśmiechnięty, pewnie myśli tak samo jak my. Chodźmy go powitać.

Podeszli pod pomnik sławnego aktora, który stał w otoczeniu drzew naprzeciw teatru. Zastygłe w zamyśleniu popiersie przyjęło wyznania miłosne pary zakochanych i całkowicie je zatwierdziło. Wyczuli to – chłopak znad nizin nadnarwiańskich i dziewczyna z południa, którzy spotkali się tu, w niegdyś niemieckim Olsztynie.

Po spotkaniu przed teatrem coraz bardziej potrzebowali siebie, wykorzystując każdą nadarżającą się chwilę, aby być razem, a jeżeli ich nie było, tworzyli je.

Szóstego grudnia Iza przyniosła Leonowi małego słonika, pisząc na kartce: „Od św. Mikołaja – na szczęście”. Słonik mieścił się w jego dłoni, ufny i bezbronny. Patrząc na niego pomyślał, że i on powinien jej coś dać. Miał w redakcji „Małego Księcia” A. de Saint-Exuperyego. Nie namyślając się wiele dał jej z dedykacją: „Mały Książę mówi *Nie wszystkie róże wiedzą* – pamiętaj”.

Rozdział 9.

Dni przepelnione szczęściem wspólnego przebywania przerwały ferie zimowe – Iza wyjechała do domu prosząc Leona, aby nikomu, a Florianowi zwłaszcza, nic nie mówił o ich szczęściu i nie próbował z

nim cokolwiek ustalać. Czekał na jej powrót włącząc się po Olsztynie i odwiedzając miejsca ich wspólnej radości.

Pod koniec ferii pani Domańska powiedziała Florianowi, że Załęscy otrzymali mieszkanie w Olsztynie i pokój jest wolny, może wprowadzać swoją narzeczoną. Po paru dniach, gdy Iza wróciła, Florian, przy pomocy Leona, sprowadził ją do siebie. Pani domu, uroczą Urszulka, zapowiedziała, że ta sytuacja wymaga uroczystego uczczenia, dlatego ona przygotuje uczę powitalną, na której będzie przyjaciel rodziny, ksiądz wikary z pobliskiego kościoła, człowiek o dużej kulturze i uduchowiony, a przy tym postawny mężczyzna – dodała zalotnie. Ustalono, że najlepszym dniem na tę imprezę będzie sobota. Właśnie kończył się czwartek, przystąpiono do pierwszych przygotowań.

Wiadomość, że na przyjęciu będzie ksiądz, i to młody, najbardziej ucieszyła Izę. Twierdziła, że rozmowa z księżmi to jej specjalność, bo można z nimi podyskutować o istocie ludzkiego posłannictwa na ziemi, o moralności i odpowiedzialności jednostki za swoje czyny, oczywiście w zestawieniu z obiektywnym złem, którego, jak twierdzą metafizycy, nie ma, które jednak zawsze znajdzie się tam, gdzie istnieje dobro, jako jego negacja. Leon aż ze zdziwienia usta otworzył, gdy mu te wszystkie problemy jednym tchem wyluszczyła.

- A skąd ty, dziewczyno, o metafizyce i jej problemach słyszałaś. To może i o Sartrze, Camusie i ich odmianie, egzystencjaliście chrześcijańskim, Gabrielu Marcel dyskutować możesz?

- Żebyś wiedział, że mogę, a słyszałam stąd, a raczej czytałam, skąd i ty wyczytać powinieneś i pewnie czytasz: z pisma katolików z grupy „Znak”, którzy miesięcznik o takim tytule wydają, a także z „Tygodnika Powszechnego”.

- „Znak” to porządne pismo, czytałem je jeszcze wtedy, gdy ty o nim pewnie nie słyszałaś, bo już w ogólniaku mój wujek - ksiądz je prenumerował, także „Tygodnik Powszechny”, gdzie pisywał i jeszcze pewnie pisuje na ostatniej stronie Kisiel, od którego i ja i wujek zaczęliśmy czytanie tego pisma. Ale coś mi się wydaje, że ty tak zwana „katoliczka zachowawcza” jesteś, a do katolików „postępowych” z PAXu przyjechałaś, u których i ja, i twój narzeczonny, pracujemy. Oni też wydają ciekawe pisma, jak chociażby „Kierunki” i „Życie i Myśl”, też miesięcznik.

- Nie interesują mnie te różne odmiany katolicyzmu w Polsce, a „PAX” uważam za grupę rozłamową. Ale dajmy temu spokój, ważne, że będę mogła z tobą dyskutować o tym, co mnie interesuje. Gdy zaś w dyskusji pomoże nam jeszcze ksiądz, który jest mocny w teologii, na pewno wieczór szybko i przyjemnie minie.

- Ależ Izo, na przyjęciu nie mówi się o tak poważnych sprawach. Nie zapominaj, że przygotowaliśmy sporo dobrej wódki i jedzenia, kto to zje i wypije, gdy będziecie dyskutować? – wtrąciła Domańska, która zdążyła już z Izą wypić bruderschaft.

- Nie szkodzi, Urszulo, nie szkodzi – mnie po każdym kieliszku rozjaśnia się w głowie.

- A jaką metodą pijesz? – może uderzeniową – zapytał Leon.

- Co to jest „metoda uderzeniowa”?

- No wiesz, Izo! I ty mówisz, że „Tygodnik Powszechny” czytasz? Największego felietonistę naszych czasów nie czytasz, boć „metoda uderzeniowa” to jego, Kisielea metoda, o której pisał w którymś ze swoich felietonów w tym szacownym i antyalkoholowym piśmie.

Dyskusję przerwał Florian, który sam zajmował się przygotowaniem kolacji. Widząc, że kobiety, zamiast uświęconym zwyczajem tym się zajmować, wdały się w dyskusję metafizyczną, poprosił je o pomoc.

Rozdział 10.

Mieszkanie było duże, cztery pokoje, kuchnia i łazienka oraz przedpokój, z którego wchodziło się do wszystkich pomieszczeń. Dwa pokoje, które zajmowali gospodarze, były połączone rozsuwanymi drzwiami, do dwu pozostałych wchodziło się osobno. Pokój Izy miał wyjście na balkon i był najbardziej przytulnym. Odkąd zamieszkała w nim Iza Leon często w nim przebywał, czasami sam-na –sam z Izą. Także i teraz, nie mając co robić przy kolacji, poszedł do jej pokoju i usiadł na kanapie.

Po chwili cicho do pokoju weszła Iza i, zarzuciwszy mu ręce na szyję, zaczęła całować.

- Leoś, nie wyobrażasz sobie, jak ja się cieszę, że jestem tutaj. Przecież to tak, jakbyśmy już byli razem.

- Dobrze, Izuś, też się cieszę, ale nie zamknęłaś dobrze drzwi, jeszcze nas zobaczą i będzie skandal.

W tej chwili zawołała Domańska: - Izo, pozwól na chwilę, pomożesz mi przy podaniu kolacji.

Leon wyszedł razem z nią.

- Panie Florianie, niech pan patrzy – pańska narzeczona z panem Leonem w pokoju się zamyka. Musi pan ich pilnować, albo niech pan to zostawi mnie – mam sporo doświadczenia w pilnowaniu narzeczonych, kilka małżeństw w tym pokoju skojarzyłam.

- Pani Urszulo, to niech nas pani szybko kojarzy – czy zła z nas para? – powiedział Leon i stanął obok Izy, wzięwszy ją pod rękę.

- Jak ja was skojarzę, to się wam raz na zawsze małżeństwa odechce. – I, zwracając się do Floriana: - Panie Florku, ja jeszcze raz panu mówię – tu trzeba uważać! Niech pan patrzy, jak Iza kokietuje Leona. Iza rzeczywiście przytuliła się do Leona, szybko jednak odskoczyła od niego, podeszła do Floriana i pocałowała go w policzek. On najwyraźniej tym się zadowolił i powiedział:
- Jestem o Izę spokojny, chociaż nie wzgardzę i pani pomocą. A co do Leona – wypędzimy go, gdy będzie sobie za bardzo pozwalał, przecież ja jestem głównym lokatorem pokoju.
- No, mój drogi, z tym wypędzaniem to ci tak łatwo nie pójdzie – musisz mi dać mieszkanie zastępcze.

Rozdział 11.

Nadeszła sobota. Gospodyni była w pełni gotowa na przyjęcie gości. Pierwsi przyszli państwo Załęscy, za nimi pojawił się ksiądz wikary, przepraszając za niewielkie spóźnienie.

Leon patrzył na księdza i oczom nie wierzył: Heniek, nie Heniek? Niby ten sam, ale jakiś inny, pełen godności, majestatu. Chyba jednak on – te same usta, szczupły nos, włosy ciemne, lekko falujące nad czołem, szerokim i myślącym. Ruchy energiczne, pewne siebie. Tak – tylko te ruchy nie jego, nigdy taki śmiały i energiczny nie był.

Gdy podszedł do Leona, a gospodarz, Zbigniew Domański, wysoki i dostojny pan, usiłował ich sobie przedstawić, Leon otworzył ramiona i zawołał: „Heniek, a ty jak się tu znalazłeś?” Zaczęły się uściski i wypytywania, powstało niewielkie zamieszanie, zebrani niewiele z tego rozumieli. Leon wyjaśnił krótko:

- To mój serdeczny kolega z tej samej wsi co ja, sąsiad. Razem pierwszy raz przyjechaliśmy na Mazury, on po szkole podstawowej poszedł do Małego Seminarium w Płocku, straciliśmy kontakt. Ale jak to się stało, że jesteś tutaj, nie potrafisz sobie wyobrazić?

Tymczasem pani Urszula zaczęła zapraszać do stołu tłumacząc, że tam będzie najlepsza atmosfera do opowiadania wspomnień. Wszyscy ruszyli do pokoju, a pani domu wyznaczała miejsca, pozwalając sobie na drobne figle. Leona posadziła obok księdza i Izy, która z lewej strony miała, zamiast Floriana, jej męża, następnie pani Załęska, Florian i, obok pani domu, z jej prawej strony, Załęski, a z lewej ksiądz. Rozpoczęło się przyjęcie, pito z umiarem, za to jedzono dużo i chętnie, bo istotnie potrawy były wysmienite. Najbardziej zawiedziona była

Iza, ponieważ ksiądz był całkowicie zajęty rozmową z Leonem, i do dysputy teologicznej nie doszło.

Heniek opowiedział co się z nim działo przez te kilkanaście lat. W Płocku ukończył małe seminarium i po paru latach nauki w wyższym seminarium przeniesiono go do seminarium warmińskiego na prośbę rektora ze względu na małą liczbę powołań w tym regionie. Jest kapłanem diecezji warmińsko – mazurskiej, pierwszą parafię biskup wyznaczył mu w Suszu, potem przeniósł tutaj. Taka jest zasada, młody ksiądz musi poznać wiele parafii, zanim zostanie proboszczem.

Przyjęcie dobiegało końca, Heniek powiedział parę słów:

- Cieszę się bardzo, że właśnie w tym domu spotkałem po latach serdecznego koleżę. Dzięki temu dom ten stanie mi się jeszcze bardziej bliski. Aby tę przyjaźń wzmocnić zapraszam wszystkich na przyjęcie u mnie w przyszłą sobotę. Wprawdzie u mnie nie będzie tak wytwornie i wystawnie jak u Państwa, ale na pewno znajdzie się na stole co potrzeba. Proszę także panie Urszulę i Izę o pomoc i służenie swoim doświadczeniem.

Heniek nie musiał prosić, panie same rwały się do pomocy.

Leon znał Heńka jako skromnego, cichego młodzieńca, słynącego z chrześcijańskich cnót, tymczasem spotyka człowieka świadomego swych zalet, przystojnego, z godnością noszącego na sobie znamię bożego powołania. Wydał mu się szczęśliwym, pogodzonym ze sobą. Proporcja bożego i ludzkiego tworzyła harmonię, wyrażała się w tym, co robił i mówił. Po kilku wizytach u niego Leon zaczął inaczej patrzeć na swoje życie, na te jego i Izy kręte drogi. Zatęsknił do szerokiego oddechu człowieka wolnego, niczym nie skrępowanego, mogącego śmiało patrzeć w twarz ludziom. Cóż, gdy Iza wciągała go w ów świat tajemnicy, konspiracji i niepewności. Nade wszystko niepewności.

Rozdział 12.

Czuł, jak ginie jego wola, jak powoli traci swoją tożsamość. Została tylko namiętność. Opuścił się w pracy, kłamał zarówno Florianowi jak i naczelnemu, wił się jak Łyna pod Olsztynem byle tylko znaleźć czas na przebywanie z Izą, najczęściej u niej w pokoju. Miała niebywały talent przekonywania, zjednała sobie Urszulę do tego stopnia, że ta nic nie widziała i nic nie słyszała. Najczęściej w całym mieszkaniu nie było nikogo, Urszula wtedy, gdy on przychodził, wychodziła i wracała dopiero na obiad.

Oddawali się rozkoszy bez obawy, że ktoś ich wykryje, Leon jednak przekonywał Izę, że sytuacja, w jakiej się znaleźli, nie jest do utrzymania i że należy za wszelką cenę przekonać Floriana, by odszedł od niej. Oboje wiedzieli, że sam nie odejdzie – on, który tkwił przy niej tyle lat. Trzeba z nim porozmawiać, odwołać się do jego rozsądku i ich przyjaźni, aby zrezygnował z Izy, która nigdy, a tym bardziej teraz, go nie kochała. Iza jednak nie chciała powiedzieć mu otwarcie, że kocha Leona, zresztą i Leonowi tego wprost nie mówiła. Manipulowała nimi, pragnęła aby obaj poświęcili się dla niej, dając im w zamian tylko to, co sprawiało jej przyjemność.

Leon nie miał jednak siły, aby ją potępić. Zresztą dla niego była dobra, to Florian znosił jej humory, odbierał razy, łagodził histerie. Może to świadomość, że skazano ją na Floriana, że nie ma siły, aby się od niego uwolnić, wyzwalała w niej tyle do niego nienawiści? A jednak nie powiedziała mu – odejdę od ciebie, nie powiedziała – Kocham Leona. Natomiast przed Leonem potrafiła klęczeć i błagać go, by od niej nie odchodził, by nie skąpił jej swojego uczucia. Prośby te były zupełnie niepotrzebne, bo Leon, choć mówił o odejściu, sam bał się tego bardziej niż ona i dlatego tak bardzo pragnął rozmowy z Florianem wierząc, że on go zrozumie. Wiedział też, że obecnie, gdy Iza jest w niewoli zmysłów, łatwiej zgodzi się pójść z nim, nie będzie też zastanawiać się, czy powinna tak właśnie postąpić i czy nie zrani rodziców. Ale chyba i ona czuła, że właśnie teraz nie należy decydować. A może bała się, że wyjawieniem swojego stosunku do Leona zniszczy to wszystko, co było pełne uroku, miało swój niepowtarzalny, jedyny klimat konspiracji, dywersji tuż pod bokiem tego, który niczego nie podejrzewał, ale w każdej chwili mógł ich odkryć. Była zafascynowana ryzykiem, reżyserią doprowadzoną do perfekcji, która tak ją pochłonęła, że nie mogła myśleć, iż coś może tę jej misterną kombinację poplątać. Miała w tej grze pojętego partnera, była nim zafascynowana, który rozumiał, czego od niego oczekuje, chwycił każdą jej myśl, każde zmrużenie oka. Ci, którzy do siebie należą, rozumieją się na odległość, a cóż dopiero oni, ciągle przebywający ze sobą, doskonalący zmysł dotyku, powonienia i wzroku oraz ten trudny do nazwania, istniejący i w nich i obok, jak niewolnik czekający na każde ich skinienie, przesyłający ich wzajemne polecenia i puls krwi. Iza wiedziała, kiedy Leon pisze dla niej kartkę i gdzie ją umieści, choć nigdy jej o tym nie mówił. Potrafiła przyjść do niego w nocy właśnie wtedy, gdy na nią czekał i gdy Florian chrapał w łóżku obok. Potrafiła, siedząc obok Floriana, odstąpić mu swoją dłoń, resztę ciała oddając Leonowi, który ją niemal rozbierał, Florian natomiast czytał gazetę lub zasypiał.

Rozdział 13.

Iza była przesądna. Mówiła nieraz Leonowi: „Zobaczysz, że to nasze szczęście musi się skończyć, bo jest za wielkie, bo ja go unieść wprost nie mogę”. Niosła je jednak i to jak niosła! Leon, ilekroć przypomniał sobie opinię Floriana o jej rzekomym wstręcie do fizycznego zbliżenia, dostawał ataku hysterii, śmiał się do utraty przytomności. A jednak nie oddała mu się – i to był szok dla Leona. Znał każdy sekret jej ciała, nie posiadał go jednak.

Dziwna była argumentacja, jaką Iza broniła się przed jego natarczywością: „Jestem wierząca, przyrzekałam, że on będzie miał mnie pierwszy, nie mogę złamać danego mu słowa. Widzisz: zaręczyny to tak jak ślub. Przecież nie jest ważny ów widzialny znak błogosławieństwa kapłana, ale zgoda na wspólne życie, jaką przyrzekają sobie narzeczeni, gdy nikt ich nie słyszy. Właściwie już od tej chwili są małżonkami i dopóki nie zwolnią się z danego sobie słowa, nie wolno im nadużywać wzajemnego zaufania”.

- Ależ Izo, ty już dziesiątki razy to zaufanie nadużyłaś, boć przecież nie jest ważny sam fizyczny akt, ale myśl o nim, nie zachowanie widomego znaku dziewictwa, ale wola oddania komuś siebie. W naszej sytuacji nie można mówić o winie. Widzisz – miłość jest jedyną wartością na ziemi, która ma moc karania i moc przebaczenia. Poza tym miłość to pełnia, to jednocześnie się duchowe i fizyczne. Oba te pierwiastki muszą się dopełniać, tak jak pełnię człowieczeństwa stanowi połączenie materii i formy, pierwiastka organizowanego i organizującego. Przenikanie się wzajemne, dochodzenie do wspólnych odczuć, szukanie tego, co będąc w nas obojgu, jest jednocześnie ponad nami, stanowi pomost, który łączy naszą pozorną obcość, naszą samotność i naszą, mimo tych wszystkich zabiegów, nieprzekazywalność. Oto jest heroiczne zadanie miłości, jedyne w swoim rodzaju, owa tajemnica komunii, która scalając pomnaża, jednocząc nie niszczy indywidualności, wyzwalając nadzieję, nie osłabia prawa do rozpacy, do szukania odpowiedzi na to pytanie jedyne, przez żadne wieki nie umniejszone i nigdy nie zakwestionowane – po co istnieje człowiek, istota do końca samotna,

do końca tragiczna i do końca wielka, o ile o tę swoją wielkość będzie, również do końca, walczyć. Twoje pojmowanie miłości i wierności jest pojmowaniem sekciarskim, nie mającym nic z chrystianizmu, jest pomniejszaniem godności człowieka. Jak możesz twierdzić, że dotrzymasz jemu wierności, gdy tymczasem każdym nerwem twojego ciała jesteś ze mną, a każdą swoją myślą pragniesz się ze mną podzielić. Jeżeli zdecydujesz się mimo to na pójście z nim w imię tych twoich źle pojętych obowiązków wierności, obowiązku dotrzymania danego kiedyś słowa w chwili rozpacz – to cię przeklnę, to uznam, że byłaś od początku do końca fałszywą. Pomyśl – to wielkie oskarżenie i nie dopuść, abym kiedykolwiek je wypowiedział.

Rozdział 14.

Po tym „kazaniu” Leona Iza załamała się. Nie była już tak wesoła jak dawniej, a jeżeli godziła się na pieszczoty, a nawet szukała ich, robiła to lękliwie, z poczuciem winy. Aż kiedyś wyznała Leonowi, gdy siedzieli w tym jej pokoju, przytulona do niego i drżąca:

- Najmilszy, najlepszy, jedyny – chcę z tobą żyć, pragnę tego zawsze o każdej porze dnia i nocy – ale nie znajduję rozwiązania. Poza tym nie opuszcza mnie od pewnego czasu, może właśnie od chwili, gdy mi to unaoczniesz, poczucie winy. A jeżeli jest wina, musi być i kara za nią. Przeżyłam z tobą dni najpiękniejsze, jakich nie zapomnę nigdy, dni, które mi wystarczą nawet wtedy, gdy pogrążę się w zupełną rozpacz, codzienność i beznadziejność. Ale mi nie przeszkadzaj – ja muszę iść z nim, muszę mu dochować tej wierności, którą ty nazywasz fałszywą, która może i jest fałszywa, ale zrozum – on beze mnie też nie będzie mógł żyć tak jak potrafi, z tym swoim spokojem i pewnością, że go nie opuszczę. Ty jesteś bardziej żywotny niż on, potrafisz zrozumieć wiele, wiele przecierpieć, bo nie pierwsza to twoja miłość i – życzę ci tego z całej duszy – nie ostatnia. Poza tym biorę ten swój los jako zadośćuczynienie za tę moją jedyną chyba, ale wielką winę – kłamstwo. Tak, Leon, nie obraż się za to co teraz powiem, ale ja muszę ci to powiedzieć: ja nigdy ciebie nie kochałam, tak jak nie kocham Florka, jak chyba nikogo nie kocham. Jeżeli powiedziałam ci wtedy w kawiarni o moich przeżyciach, a nawet grałam wtedy, czego nie zauważyłeś, to tylko po to, by cię wreszcie zdobyć, wyrwać kobiecie, której byłeś wierny mimo, iż jej obok ciebie nie było. Chciałam udowodnić sobie, że jeszcze wiele mogę, że jeszcze jest we mnie moc wyzwania. I udało mi się – za dobrze udało. Nie przypuszczałam, bo i dlaczego mogłam przypuszczać, skazana na przebywanie z człowiekiem, który nigdy nie ośmielił się mocniej mnie przytulić, że istnieje w mężczyźnie

tyle siły witalnej, tyle ognia, który z taką mocą i z taką czystością potrafi wybuchnąć. Leon, to moja ostatnio rozmowa z tobą, bądź silny i nie pozwól, abym ja miała się załamać. Wiem, że jestem winna, wiem że mogłabym postąpić inaczej, mogłabym iść z tobą. Ale zobacz – nie kocham ani jego, ani ciebie tak, jak na to zasługujesz. Ciebie jednak pragnę, z tobą są i chyba zostaną wszystkie moje marzenia, ale też, wiem to, gdybym z tobą poszła, nie potrafiłabym dać ci tego, czego ode mnie oczekujesz. Uczyniłeś mnie swoją boginią, a tymczasem ja jestem kobietą i to złą kobietą. Z tamtym natomiast będę jakoś żyć, nie jestem mu potrzebna jako kobieta w takim stopniu, jak tobie. Jemu wystarczy moja ręka – pamiętasz? Gdybym tak mogła mieć jednocześnie i ciebie, i jego, na pewno nie wahałabym się ani sekundy. Ciebie jednak nie mogę zranić, nie mogę na ciebie krzyczyć ani cię nienawidzić. Jego natomiast mogę, bo wiem, że tego nawet nie odczuje.

Nie mów nic, nie usiłuj mnie przekonywać. Masz ty swoją filozofię, pozwól, abym i ja miała swoją – na własną miarę. Wiem jedno – nie będę nigdy szczęśliwa, nawet gdybym poszła z tobą. Chociaż kto wie – gdybym cię spotkała wcześniej, wtedy, gdy jeszcze nie było za późno – to może. Widzisz – największą naszą tragedią jest to, że spotykamy się za późno. To się rzadko zdarza, ale się jednak zdarza. Więc kochany – żegnaj i przebac!

Nie mówiłam ci nic wcześniej, bo się bałam, ale dzisiaj muszę powiedzieć, że otrzymaliśmy wreszcie mieszkanie w Olsztynie, w nowym bloku. Nie cieszę się z tego, bo wiem, że nie z tobą pójdę tam mieszkać.

Ustaliliśmy z Florianem, że w przyszłym tygodniu bierzemy ślub cywilny, bo jest to warunek konieczny, abyśmy otrzymali mieszkanie.

Kochany – jeżeli będzie ci w tych dniach ciężko, staraj się gdzieś wyjechać, do rodziny na wieś albo do wujka, on ci sprzyja i dobrze się u niego czujesz. I jeszcze o jedno cię proszę: nie płacz! Ani teraz, ani później – nie warto. Możesz mnie nawet przekląć, jeżeli ci to pomoże. Ja i tak wiem, że mnie już nic nie zaszkodzi. Chcę ci także powiedzieć na pocieszenie, choć nie bardzo w to wierzę, gdy będzie mi z Florianem źle, gdy o tobie nie będę mogła zapomnieć – to przyjadę do ciebie i wtedy już nic nas nie rozłączy. Czy przyjmiesz mnie wtedy, córkę marnotrawną?

- Tak – powiedział Leon przez łzy i nic więcej nie zdołał z siebie wydobyć. Zaczął całować te ręce, które przez tyle dni i miesiące były dla niego natchnieniem i nadzieją, a które teraz żegnał po raz ostatni.

Rozdział 15.

Leon po przeprowadzce Izy i Floriana został sam. Jedyń jego ostoją został Heniek, który powinien mu pomóc, wyprowadzić z tego załamania. Przestał się modlić, spełniać praktyki religijne. Zwąpił. Nie mógł jednak zdobyć się na wyznanie swoich problemów. Bywał u niego często, dyskutowali na różne tematy, często miłosne, o których Heniek umiał mówić i chciał mówić.

Któregoś wieczora, gdy siedział sam w pokoju Izy, do którego się przeniósł po jej wyprowadzce, i miał zamiar iść do Heńka, by wreszcie zrzucić z siebie ten ciężar trudny do uniesienia, listonosz przyniósł mu telegram z domu. Ojciec pisał: „Przyjeżdżaj natychmiast, Jola poważnie chora”. To go zaniepokoiło. Nie zastanawiając się natychmiast zatelefonował do informacji PKP, by się dowiedzieć, o której ma najbliższy pociąg do Ostrołęki. Odjeżdżał kilka minut po północy, miał jeszcze tyle czasu, by się przygotować do wyjazdu i dojechać do Olsztyna. Przechodząc obok domu, w którym mieszkała Iza z Florianem, przystanął, popatrzył w jej okno – było jasno oświetlone, na ścianie poruszało się kilka cieni. „Widocznie ma przyjęcie” pomyślał i poszedł na dworzec.

Na przystanku w Goworowie przywitał go ojciec. Skulony, o twarzy pomarszczonej, nie uśmiechał się jak zwykle na powitanie, lecz powiedział głosem, w którym był i ból, i rozpacz, i skarga na los.

- Tak, Leoś, już drugie dziecko nam się marnuje. Za co Pan Bóg tak nas karze i doświadcza, przecież jesteśmy Mu wierni. Jedno dziecko utonęło, drugie ogłupiało, a trzecie poszło w świat – i jak ja teraz dam sobie radę, stary i schorowany? Radź coś, przecież jesteś taki uczony.

Leon zapytał o objawy choroby.

- Ano nic nie robi ino siedzi w kącie i woła, że ją diabeł goni, idzie na nią ciemność. Boi się też głodu, opowiada, że wszyscy poumieramy. Nie możemy sobie z nią poradzić, biega po wsi, opowiada różne głupoty, a już najczęściej to siedzi u swojej teściowej, zamęcza ją pochlebstwami, oblapuje, albo zamyśla się nagle, odskoczy od niej i zaczyna wymyślać, krzyczy, aby sobie zabrała syna, że go nie chce, że ma go dość.

- A co z Zenkiem? Jak on się zachowuje?

- On nic nie rozumie, dokucza matce i mnie, twierdzi, że to nasza wina, że mu nie powiedzieliśmy o chorobie córki. A co my mogliśmy mu mówić, przecież nikt go nie prosił, aby się z nią żenił, widział co brał. Jola była dziewczyną żywą, ale normalną, kto mógł przypuszczać, że jest chora psychicznie. Ot – dopust boży, trzeba to przyjąć z pokorą i ofiarować za swoje grzechy.

- Jaki dopust, przestałby ojciec opowiadać bzdury! Dziewczynę trzeba leczyć – ot co. Już na weselu widziałem, że nic dobrego z tego małżeństwa nie będzie, zmusiliście ją, aby wyszła za tego, którego nie kochała, zabiliście w niej tamtą jej autentyczną miłość, a teraz opowiadacie o bożych karach, jakby mało było ludzkiej głupoty. Niech ojciec nie żałuje tego konia, batem go – jak długo będziemy jechać!

Leon, trzęsąc się na wozie, który podskakiwał na wybojach i korzeniach drzew, zdawał sobie sprawę z powagi sytuacji. Z tego, co powiedział ojciec, wnioskował, że Jola jest albo w ciężkiej depresji, albo może jest to coś o wiele bardziej groźnego, o czym bał się nawet pomyśleć, objawy jednak na to wskazywały – schizofrenia.

Wreszcie zajechali przed dom, Leon szybko wysiadł z fury, wybiegła Jola, rzuciła mu się na szyję i zaczęła wołać:

- Przyjechał mój najdroższy, jedyny zbawca! Leoś, kochany, ratuj mnie, oni mnie zamordują, chodzą dookoła mnie z nożami i tylko czekają, kiedy przestanę się bronić. Ale ja się im nie dam ...

Przerwała jej matka. Wyszła zapłakana, podeszła do Joli, objęła ją i powiedziała:

- Dziecko drogie, kto cię chce mordować, przecież nikogo nie ma, a jak się zjawia, to ja cię obronię!

- Nie obronisz mnie, mamusiu, oni i ciebie zamordują. O – zobacz, już idą od strony sadu, uciekaj!

- Ale kto, Jolu, kto – zapytał Leon, trzymając ją w ramionach, gdyż chciała lecieć na wieś.

- Diabły, jest ich dużo, niosą noże i siekiery, uciekajmy!

- Jolu, co ty opowiadasz, przecież diabły nie chodzą w dzień, kiedy jest widno. O – zobacz, już nie ma ani jednego, uciekły. Chodźmy do izby, uspokoisz się.

- Mówisz, że nie chodzą w dzień? Może i nie chodzą, ale w nocy przyjdą. Będziesz dzisiaj ze mną spał, dobrze?

- Dobrze, Jolu.

Gdy uspokoiła się nieco, poprosił ojca, aby szybko zadzwonił od sołtysa po pogotowie.

- I niech nie zapomną wziąć kaftana bezpieczeństwa, wprowadźcie Jola nie jest silna, ale po co ją krępować. Niech ojciec powie, że to schizofrenia, przyjadą szybko.

Rozdział 16.

Jola była jednak silna. Trzymało ją dwóch sanitariuszy i Leon. Po krótkim czasie pojawił się Władek, który był na wsi, stał bezsilny i płakał. Marysia powoli uspokoiła się, ale nadal błagała, aby jej nigdzie

批注 [N1]:

批注 [N2]:

批注 [N3]:

批注 [N4]:

批注 [N5]:

nie wywożono, klękała przed Leonem prosząc go, aby ją zostawił w domu, ona musi pilnować rodziców, bo zginą z głodu i zostaną zniszczeni przez wysłanników piekła.

- Tylko Władka mogą zabić, nie żałuję go, po co do nas przyszedł, niech idzie do swojej matki.

Już bez oporu założono jej kaftan bezpieczeństwa i wsadzono do karetki. Leon powiedział rodzinie, że pojedzie z Jolą do Gdańska do Kliniki Psychiatrycznej, gdzie słynny prof. Bilikiewicz jest dyrektorem, on na pewno uratuje Jolę i przywróci jej równowagę psychiczną.

- Nie martwcie się, napiszę do was w najbliższym czasie. Z Olsztyna jest bliżej, więc częściej będę mógł ją odwiedzać. Niech mama nie płacze, Jola na pewno zostanie pod dobrą opieką i za kilka tygodni wróci.

Tak mówił rodzicom, ale przed sobą nie ukrywał, że sytuacja jest poważna. Dowiedział się w domu, że Jola chorowała już kilka miesięcy, ale rodzice i Władek nie orientowali się, co to jest. Sądziła, że są to jakieś kaprysy, humory, słowem – nic poważnego.

Nie wątpił, co wywołało chorobę. Przypomniał sobie ślub i dzień wesela, gdy obserwował ją pilnie – nie zauważył ani zadowolenia, ani radości. Później, w listach pisała

mu, że źle się czuje w małżeństwie, że absolutnie do siebie nie pasują, że Władek nie daje jej zadowolenia zmysłowego, brzydzi się nim nawet, że noc jest dla niej umęczeniem. Leon, jeszcze w Mrągowie, myślał, by ich rozwieść, własne sprawy jednak pochłonęły go na tyle, że zapomniał o tym. Po przeniesieniu się do Olsztyna spotkał własną miłość i własne troski, z których nie potrafił wybrnąć.

Gdy tak wspólnie jechali do Gdańska, od Ostrołki koleją i już bez kaftana bezpieczeństwa, postanowił, że po powrocie do Olsztyna pójdzie do Izy, aby jej opowiedzieć, do czego doprowadza w małżeństwie życie bez miłości. Może uda mu się przekonać ją, aby opuściła Floriana. To nic, że wzięli już ślub cywilny, lepiej nieszczęściu zapobiec teraz, niż wtedy, gdy już zaistnieje.

Tak bardzo przejął się tą myślą, że z niecierpliwością czekał, kiedy będzie mógł wyjechać z Gdańska. Jednak mimo życzliwości, z jaką spotkał się w Klinice, stracił cały dzień. Umieściwszy wreszcie Jolę i upewniwszy się, że nic jej nie grozi, o północy wyjechał do Olsztyna. W drodze zastanawiał się, co powie Izie, aby obraz, jaki ma zamiar jej przedstawić, wypadł i strasznie, i przekonująco.

Rozdział 17.

Przyjechał do Olsztyna wcześniej. Nie chciał jechać do siebie, by nie marnować czasu, przesiedział na dworcu do rana. Wiedział, że Florian wychodzi do pracy o 8,30, postanowił, że do ich mieszkania przyjdzie o 9, aby mieć czas na dyskusję z Izą, która do szkoły szła w tym dniu po południu.

Punktualnie o 9 był przed blokiem, w którym mieszkali. Wchodząc na schody słyszał, jak bije mu serce. Izy nie widział od miesiąca, bał się, czy zechce go przyjąć, czy nie zapomniała o nim, a może przyznała się do wszystkiego Florianowi, który wytłumaczył jej, że to nic poważnego, że była to tylko chwilowa namiętność, która musiała minąć wcześniej czy później, dobrze, że skończyła się teraz.

Zastukał do drzwi. Iza zapytała, kto? – i otworzyła mu drzwi. Była w niebieskim szlafroku w duże, białe grochy, tym samym, w którym chodziła u Domańskich.

Spojrzeli na siebie, Leon ucałował podaną mu dłoń. Oparł się o drzwi, aby się jej przyjrzeć.

Iza nie pozwoliła, aby stał i patrzył. Szybko zarzuciła mu ręce na szyję, przywarłszy do niego całym ciałem. Była ciepła, promieniowała jeszcze snem. Szlafrok rozchylił się i odsłonił to delikatne, drżące ciało. Leon całował szyję i piersi, jędrne, pulsujące, pięknie sklezione. Ręce błędziły po ciele, wyzwalając rozkosz. Uniósł ją i położył na tapczanie, szybko rozebrał się i wsunął pod kołdrę.

Zapomnieli, że istnieją. Było to przeżywanie istnienia w sposób sprawdzalny do końca, wyzwalający wszystkimi zmysłami wartości jedyne i niepowtarzalne, w świetle których ich istnienie nabierało sensu, urastało do wartości jedynie koniecznej, wystarczającej sobie, takiej, która sama siebie określa i sama jest dla siebie uzasadnieniem.

W tym miłosnym upojeniu pojęli istotę prawd pierwotnych, takich, które są istotą kodeksu moralnego człowieka i których nikt nie określa, bo to właśnie one określają i uświadamiają całą resztę. Aby je zrozumieć, trzeba się do końca zatracić, doprowadzić zarówno umysł, jak i zmysły do takiego stanu, byśmy nie myśląc pojmowali i nie czując już nic jednocześnie czuli, że wszystko jest w nas.

Iza już się nie broniła. Współdziałając doprowadzali siebie do stanu ołśnienia, do jasnowidztwa rozkoszy, a następnie do uspokojenia i do takiej ciszy, jaką znają tylko marynarze na morzu, którzy przed chwilą zwyciężyli sztorm, jedyny w swoim rodzaju, taki, o którym dzieciom i wnukom opowiadać będą.

Godziła się teraz na wszystko. Ustalili, że Leon porozmawia z Florianem przygotowując go do rozmowy z Izą, która powie mu, że go nie kocha, że bardzo go przeprasza, ale nie pójdzie z nim, bo przez kilkadziesiąt dni, które dzieliły ją od Leona, doszła do wniosku, że bez

niego nie może żyć i nie chce. Opowiadanie o chorobie Joli zrobiło na niej wrażenie większe, niż Leon chciał osiągnąć. Powiedział jej o chorobie wtedy, gdy spokojna, wtulona w jego ciało, mówiła mu, że czuje się taka bezpieczna, radosna i wyzwolona, jak nigdy przedtem, a szczególnie w ostatnich dniach, w których przechodziła męki trudne do przetrzymania. Odkąd zamieszkali wspólnie, nie miała chwili spokoju, oczywiście nocą. Florian wprawdzie nie był natrętny, ale za to wymagał innych świadczeń. Pragnął, aby go pieściła, ciała ich były daleko, nie mogła gładzić tej jego gołej piersi, ciała, w którym nie zdrżał ani jeden nerw. Zawijała się w swoją kołdrę i odwracała od niego, często pokłóciwszy się uprzednio. Zасыpiając myślała o Leonie.

- To była męka tak wielka, że chciałam do ciebie jechać, albo dzwonić, ale spotkałam w mieście Urszulę, która mi powiedziała, że pojechałeś do rodziny.

Zapomniałem powiedzieć ci o sensacji, o czym mówi wielu znajomych. A myśmy tam mieszkali i nic nie widzieliśmy. Otóż biskup przynosi twój Heńka do innej parafii z dala od Olsztyna, ponieważ doniósł mu mąż Urszuli, że Heniek jest kochankiem jego żony. Pewnego dnia mąż Urszuli, który od dawna coś podejrzewał, przyłapał ich „il flagranti” w domu. Było to późnym wieczorem, gdy Urszula wiedziała, że jej mąż wróci późno z delegacji. On jednak wrócił specjalnie wcześniej i, przyłapawszy ich, nie mówiąc nikomu, a tym bardziej Urszuli, na drugi dzień udał się do biskupa i wszystko mu opowiedział. Biskup natychmiast wezwał Heńka, zbeształ go i jakoby powiedział, że jego portki cuchną kobietą, na co twój Heniek odpalił: „A czy ekscelencja moje portki wąchał?” I właśnie za tę butę biskup go przeniósł na daleką i biedną parafię, gdzie nie ma dobrego dojazdu i trzeba dokończyć budowę kościoła. Bo biskup wszystko swoim podwładnym wybaczy, tylko nie stawiania się i nieposłuszeństwa. Taki już jest – mówią że despota i z nikim władzą się nie dzieli.

Nagle Iza skończyła opowieść i zaczęła nasłuchiwać wołając do Leona: „Ukryj się, to Florian, zapomniałam, że miał wcześniej wrócić”. Wskoczyła z tapczanu i pobiegła w stronę drzwi krzycząc: „Nie wchodź, ubieram się”. Leon słyszy głos Floriana: „To co, że się ubierasz” – i otwiera drzwi. Wchodzi do przedpokoju, Iza usiłuje skierować go do kuchni, ten jednak, widząc jej zdenerwowanie, odpycha ją i wchodzi do pokoju. Leon spokojnie leży dalej czekając, co powie Florian.

Nie czuje się winnym. Wie, że Iza była jego i że jego już zostanie. Nawet jest zadowolony, że Florian tak nieoczekiwanie dowie się prawdy. Ten jednak nic nie mówi, siada na fotelu i zakrywa twarz dłońmi. Iza rzuca się mu do nóg, całuje zabłocone buty, wije się u

kolan, płacze i prosi o przebaczenie, że już nigdy, że była to tylko chwila zapomnienia, że nic między nią a Leonem nie było.

Nie – na to Leon nie może pozwolić! Wstaje, ubiera się powoli, bez pośpiechu, tamci trwają przy sobie, Iza nadal u nóg Floriana błaga go o przebaczenie. Leona dziwi ten jej skowyt, bo jest to skowyt a nie prośba, jakiś opętańczy strach, szok. Chce wziąć ją na ręce i przenieść na tapczan, uspokoić. Ona jednak spojrzała na niego wzrokiem, w którym był ból i strach, nienawiść i pogarda. Krzyczy: „Odejdź stąd, nie chcę cię więcej znać, jesteś wszystkiemu winien. Idź, natychmiast, abym cię więcej nie widziała”.

Jak to – więc ma odejść? On? Zapomniała chyba, co przed chwilą mówili, co przeżywali? Teraz Leon klęka przed Izą, mówi: - Izo, moja ukochana, co ci się nagle stało?

Nie zapominaj, co postanowiliśmy. To lepiej, że on tu jest, że wszystko widzi, nie będzie trzeba mu tego tłumaczyć, szybciej zrozumie, że jego trwanie przy tobie nie ma już sensu. Połóż się, kochanie, my już sami ze sobą porozmawiamy, ale nie tutaj, aby cię nie denerwować.

Iza nie słucha go. Mówi do Floriana: „Nie wierz mu, nic ze sobą nie mówiliśmy, nic nie ustalaliśmy. Powiedz, aby już sobie poszedł, wypędź go!”

Leon wstaje, patrzy długo na Izę, na Floriana. Zaczyna wreszcie rozumieć: tak, Iza czuje się winna, zapomniał o tym jej dziwnym sumieniu, dziwnej wrażliwości, reagującej nie tam, gdzie jest rzeczywista wina, gdzie tylko pośrednio wyrządzamy ją komuś właśnie dlatego, że najpierw ten ktoś zawinił. Chce im obojgu to wyjaśnić.

- Posłuchajcie mnie. Wiem, że Iza czuje się winna w stosunku do ciebie, Florian. Ale przecież nie ma tu żadnej winy, ponieważ Iza nigdy do ciebie nie należała. Zrozum – nie oficjalny akt przekazuje ci prawa do drugiego człowieka, ale jego przyzwolenie. Ty zaś nigdy tego jej przyzwolenia nie miałeś. To, co ci tyle razy mówiła, było albo rezygnacją i zniechęceniem, brakiem perspektywy na przyszłość, albo wynikało ze źle pojętego obowiązku, z czego przecież zarówno Iza, jak i ty, zdajecie sobie sprawę. Iza zrozumiała dzisiaj, do czego prowadzi takie postępowanie, jak wasze, i zapagnęła wreszcie odzyskać swobodę decyzji i wybrać tego, którego pragnie. Nie przeszkadzaj więc jej i mnie, pozwól, aby zwyciężył rozsądek i miłość, a nie egoizm i źle pojęty obowiązek.

Florian, zdenerwowany do granic możliwości, wstaje i mówi:

- No dobrze, Izo, wybieraj więc.

Takiego obrotu sprawy Leon się nie spodziewał. Patrzy na Izę, która podchodzi do niego. Już nie drży, opanowała się.

- Leon, proszę cię, nie męcz mnie już więcej. Idź. Zrozum: nie zawsze możemy wybierać wtedy, gdy ktoś drugi pozwala nam na to. I bardzo, bardzo dziękuję ci za dzisiejszy dzień.

Nie wiem, dlaczego tak się stało, ale ja nie mogę wybierać, nie mogę was porównywać. Jego już wybrałam dawniej, a dlaczego ciebie nie mogę wybrać teraz, już raz ci mówiłam, chyba pamiętasz. Idź więc – po dzisiejszym dniu wiem dobrze, co tracę. A gdy zachoruję na schizofrenię przyjedziesz, aby zawieźć mnie do szpitala – może wtedy do ciebie wrócę.

Wyprowadziła go do przedpokoju i, otwierając drzwi, obejrzała się, czy Florian nie widzi, pocałowała go na pożegnanie.

Stał chwilę na schodach i patrzył na drzwi, za którymi najdroższa dla niego osoba, z którą chciał żyć i która z nim żyć pragnęła, pewnie obejmowała teraz obcego sobie mężczyznę, gryząc wargi, aby nie płakać i nie wycić z bólu. Jakże więc? – musi odejść właśnie wtedy, gdy uwierzył, że nie ma już konieczności odejścia? Wtedy, gdy wydawało mu się, że zwyciężył bezdusność Losu?

Schodząc na dół wydaje mu się, że słyszy jego szyderczy głos: „Jestem stale obecny, nie zwyciężysz mnie i nie zmylisz, ani nie przechytrzysz. Byłem wtedy, gdy umierała Antygona, wtedy, gdy sztylet przebijał Romea, gdy kula niszczyła młode życie Puszkina i wtedy, gdy pod gruzami średniowiecznego zamku ginął Wokulski. A ty – czy jesteś lepszy tylko dlatego, że żyjesz w drugiej połowie dwudziestego wieku? Z jakiej racji miałbym o tobie zapomnieć? Czy może dlatego, że chciałeś sobie udowodnić, że mnie zwyciężysz? Za młody jesteś! Idź, pożyj jeszcze kilkadziesiąt lat, a wtedy znów się spotkamy. Teraz za wcześniej dla ciebie na rozpacz, a i ja nie mam ochoty cię niszczyć. Więc – do zobaczenia, młodzieńcze. Pomyślności życzę!

Rozdział 18.

Leon zszedł ze schodów i poszedł na przystanek tramwaju. Ta jedyna linia prowadziła w kierunku jeziora Długiego. Nie myślał. Całą drogę słyszał głos Losu, ale już go nie obchodziło, co mówił. Widział pokój Izy i Floriana, zapach jej ciała błędził jeszcze w zakamarkach jego ciała.

Tramwaj staje, Leon słyszy głos konduktora – „Końcowy, proszę wysiadać” – ale nie wysiada. Konduktor podchodzi, potrząsa go za ramię: „Panie młody, proszę wysiadać, dalej nie jedziemy”. Spojrzał na konduktora: – A skąd pan wie, że nie jedziemy? Ja jadę, ale już nie tramwajem.

Konduktor patrzy podejrzliwie na Leona, gdy wysiada i idzie w kierunku jeziora. „Jakiś desperat, żeby się tylko nie utopił”.

Szum drzew uspokaja go. Podchodzi do wody, spokojnej, rozległej, na delikatnych falach zachodzące słońce rysuje swoje złote pasma. Był tu przed miesiącem z Izą i Florianem – wtedy woda była wzburzona.

Jezioro powoli zamierało w zbliżającej się nocy. Zapadał zmrok, a i w sercu Leona nie było zbyt jasno. Co ma robić dalej? Olsztyn nie okazał się dla niego zbyt łaskawy. A może to on nie polubił go tak, jakby należało? Jest przecież poetą, powinien napisać jakiś poemat o tym bohaterskim grodzie, stawiającym dzielnie opór Krzyżakom, a także germańskim zakusom, usiłującym przez dziesięciolecia zniemczyć jego mieszkańców, dumnych i broniących swej polskości Warmiaków? „Tak – trzeba o tym pomyśleć” – zanotował w pamięci. „No i trzeba stąd iść, mam przecież swój pokój, wprawdzie tuż za miastem, ale ciepły, przytulny, pachnący Izą.”

Właśnie nadjeżdżał tramwaj. Leon wsiadł i po paru przystankach wysiadł blisko dworca zachodniego.

Szybko zrobił sobie kolację i położył się do łóżka. Tuż przed zaśnięciem pojawiła się myśl: „Trzeba odwiedzić Heńka. Przecież to mój przyjaciel!. Na pewno cierpi w samotności na nowej parafii, należy mu pomóc! A może i on mi pomoże?”

Rozdział 19.

Minęło parę dni, potrzebne, by zebrać myśli i dowiedzieć się, gdzie biskup przeniósł Heńka. Była to mała parafia wiejska niedaleko Elku. Sprawdziwszy, jak można się tam dostać, Leon wsiadł do pociągu jadącego przez Elk, skąd zamierzał dojechać do plebanii taksówką. Bez trudu dotarł na miejsce w sobotę tuż po południu, taksówkarz zawiózł go pod bramę plebanii. Była połączona z kościołem niewielkim przejściem, w którym umieszczono zakrystię. Kościół był w budowie, msze odbywały się w pomieszczeniu parterowym, przeznaczonym na sale zebrań i nauki religii. Leon oglądał budowę, chodząc wokół kościoła. Po paru minutach z plebanii wyszedł Heniek by sprawdzić, kto przyjechał. Poznawszy Leona uściskał go i poprosił do swojego mieszkania na piętrze plebanii. Oprócz pokoju była tu jeszcze niewielka kuchnia i łazienka.

- Widzisz, tak teraz mieszkam. Skromnie, ale mnie to wystarcza. To jest mój klasztor i moja pokuta. Mam zakończyć budowę kościoła, wtedy biskup przywróci mnie do łask. Ale siadaj, przygotuję coś do jedzenia, wtedy pogadamy.

Heniek chciał usmażyć jajecznicę na boczku, ale w lodówce były tylko dwa jajka. – Trochę mało, jak na dwóch – powiedział.

- Zaraz pokażę ci, jak się rozmnaża nie chleby, lecz jajka. Przypomnij sobie – pewnie twoja matka smażyła wam jajecznicę po kurpiowsku? Mleko, widzę, masz, mąkę i smalec też. Popatrz, jak to się robi.

I Leon przystąpił do dzieła: rozbełtał w mleku jajka, nasypał tyle mąki, by ciasto było nieco gęstsze niż na naleśniki, dodał sól, cukier i pieprz do smaku oraz odrobinę boczku, który znalazł w lodówce. Odczekał chwilę, aż boczek się zarumieni na patelni i wlał gotową pacię cały czas mieszając, by się nie przypaliła. Po wysmażeniu jajecznica była gotowa i wystarczyła, aby zaspokoić głód dwóch mężczyzn.

- Tak to, widzisz, dokonałem cudu rozmnożenia jajek. Będziesz mógł go powtarzać tyle razy, ile nie będziesz wiedział, co zrobić na obiad. Sam często w ten sposób ratuję się od głodu. Jajek nie powinno ci zabraknąć, na pewno młode gospodynie chętnie przyniosą przystojnemu proboszczowi. A propos – czy ty jesteś już proboszczem?

- Tylko zastępuję proboszcza, który jest leciwy i nie miesza się do rządzenia parafią, pomagając jedynie w kościele na tyle, na ile pozwala mu zdrowie. Biskup obiecał, że po zakończeniu budowy kościoła w stanie surowym mianuje mnie proboszczem. Ja mam jednak inne plany, opowiem ci za chwilę, najpierw kawa i coś mocniejszego, na rozgrzewkę.

Zapach kawy nappełnił pokój. Heniek wyjął z barku zubrówkę.

- Teraz na prowincji w lepszym towarzystwie to się pija. W miejscowym sklepiku nie ma, musiałem jechać do Elku, na szczęście jest linia PKS-u. Trawka z Białowieży robi furorę, ale chłopci nadal piją cck albo samogon.

- A u nas w Olsztynie zaczyna być modna soplicówka, zwłaszcza wśród studentów. I Leon wyciągnął z teczki półlitrowkę.

- Dziękuję, na pewno wystarczy do rana.

Wypili „zagryźli” kawą.

- To co, Heniu – teraz pójdzie ci łatwiej opowiadać o planach na przyszłość.

Twarz Heńka nagle posmutniała, siedział chwilę zamyślony.

- Czytałeś może „Pod słońcem szatana” G. Bernanos? Ciekawa książka, w sam raz dla mnie – szatan atakuje wiejskiego proboszcza. Zdaje mi się, że i do mnie dobiera się któryś ze zbuntowanych aniołów.

- Coś mi się widzi, że już w Olsztynie cię usidlił w myśl porzekadła: „Gdzie diabeł nie może, tam kobietę pośle”. Widujesz się jeszcze z Domańską?

- Nie – już mi przeszło. Była tu raz, ale dałem jej do zrozumienia, żeby więcej nie przyjeżdżała. Jak pokuta, to pokuta. Muszę pozbiierać myśli, a jest o czym dumać „na mazurskim piachu”.

- Kluczysz i kluczysz, może wreszcie powiesz coś konkretnego? Skoro jest diabeł, to pewnie i grzechy się pojawiły. Jeżeli nie kobieta, to co?

- Coś o wiele bardziej poważnego – zwątpienie.

- Ty i zwątpienie? Taki mocny w wierze, widzący w Kościele jedyną ostoję, podziwiający jego organizację, konstrukcję doktryny, która przez dwa tysiące lat trwa niewzruszona, choć wielu próbowało ją zachwiać, ot – choćby albigensi, później odrodzenie, rewolucja francuska, oświecenie, a teraz komunizm. A on trwa niewzruszony, nie zburzyły go także jego własne grzechy - inkwizycja, moralne rozpisanie niektórych papieży, pedofilia wśród księży. Mało?

- Dużo, ale będzie jeszcze więcej. To nie rzecz w doktrynie, ta sobie poradzi, chwieją się dogmaty. Konstrukcja świętego Pawła i cesarza Konstantyna robi się przestarzała, papież i kardynałowie przyodziani w rzymskie ornaty przypominają coraz bardziej cesarów i rządzą jak cesarze, coraz więcej księży buntuje się przeciwko bezwzględnemu posłuszeństwu hierarchii, domagają się zniesienia celibatu, spowiedzi indywidualnej, która już tylko prosty ludek przekonuje. Potrzebny jest kolejny sobór powszechny, coraz głośniejsze o nim w Kościele.

- A co z dogmatami, jak na razie mówisz głównie o doktrynie?

- Bo doktryna jest ważna w każdej religii. Ale dogmaty są ważniejsze, to podstawa wiary. Najważniejszy dotyczy zmartwychwstania Chrystusa i wniebowstąpienia, niemniej ważny jest ten, który głosi, że Jezus zrodził się z Marii- Dziewicy jako syn boży i jest pozbawiony grzechu pierworodnego. Niedawno papież Pius XXII ogłosił dogmat o wniebowstąpieniu Matki Bożej. Były protesty niektórych hierarchów i wiernych, ale ucichły, choć mogą ożyć po śmierci obecnego papieża, który jest już bardzo słaby. Przypominam ci je, choć wiem, że je znasz, ty, absolwent KUL-u.

- Pewnie, że znam. Ale co ciebie w tych dogmatach niepokoi?

- Coraz trudniej mi w nie wierzyć. Pojawiają się nowe opracowania o życiu Jezusa, które wyraźnie wskazują, że to zapożyczenia ze Starego Testamentu, w którym nie mówi się wprost, że Mesjasz miał być Bogiem, sam Jezus też nie mówił że jest synem bożym, używał określenia w stosunku do siebie – syn człowieczy. Coraz częściej neguje się wniebowstąpienie Jezusa, dziewictwo Maryi i wzięcie Jej za życia do nieba. Nauczanie świętego Pawła też jest zupełnie inaczej

przedstawiane, nie tu miejsce i czas, by ci te wszystkie trudne i nieprawdopodobne sprawy wytłumaczyć.

- Mówisz tak jakbyś nie wiedział, że dogmaty nie są przedmiotem wiedzy, lecz wiary. Opowiem ci, jak w czasie zdawania egzaminu z teodycei ojciec Krąpiec zapytał mnie, czy przekonały mnie dowody świętego Tomasza na istnienie Boga? Byłem w trudnej sytuacji, sądziłem, że jak powiem, że nie, zaczniesz dopytywać, dlaczego, domagać się uzasadnienia. Odpowiedziałem więc najprościej, że między wiedzą i wiarą jest rów, który trzeba przeskoczyć, by uwierzyć, że tu się niczego nie da udowodnić. I wyobraź sobie, że, nie pytając więcej, postawił mi piątkę. Od tego czasu bardzo go cenię, to jeden z najmądrzejszych moich nauczycieli z czasów studiów. A ty chcesz zrozumieć dogmaty? Nie jesteś przecież dzieckiem siedzącym nad morzem i chcącym przelać do swojego dołka w pisaku wodę z morza!

- Nie zrozumiałeś mnie. Zresztą mówiłem nie po to, byś zrozumiał, bo przecież wiem, że wiara jest podana człowiekowi do uwierzenia, a nie do rozumienia. Przeraza mnie co innego: że moja wiara słabnie! Pewnie że i dlatego, co czytam, ale też i dlatego, że coraz częściej obserwuję hierarchów, którzy używają dogmatów po to, by o nich mówić, a nie w nie wierzyć. Coraz częściej spotykam kapłanów, którzy mi mówią w tajemnicy, że nie wierzą w Przejście, że to tylko pamiątka, a nie pojawianie się Chrystusa w Hostii. I moim zdaniem mają rację, przecież tak jest powiedziane w ewangelii: „To czyńcie na moją pamiątkę”. Rzecz w tym, jak to interpretować, jak powiedzieć ludowi bożemu, który w to święcie wierzy. To są sprawy do załatwienia na soborze, a soboru nie widać. To mnie martwi, to mnie rozbraja wewnętrznie i kruszy moją wiarę.

- Rozumiem cię, sam mam z tymi sprawami problemy. Coraz mniej we mnie wiary w Kościół Chrystusowy. I wiesz - wątpliwości zaczęły się właśnie na KUL-u. No cóż, pod latarnią najciemniej! A teraz jest z tym coraz gorzej. Spowiedź indywidualna wydaje mi się bez sensu odkąd się dowiedziałem, że zawdzięczamy ją mnichom irlandzkim z VI i VII wieku. Jakoby mnisi zaczęli się sobie zwierzać z problemami, jakie mają z wiarą i sprawami tego świata. Zauważyli z czasem, że jest im lżej, jak tak sobie porozmawiają. Opowiadali o tym w klasztorze, przeor doniósł papieżowi, który ich zwyczaj uznał za godny zalecenia i nakazał go praktykować najpierw wśród zakonników, a potem wiernych, zwłaszcza możnych tego świata. Z czasem powstała cała skomplikowana konstrukcja uzasadniająca, znasz to przecież. Nie chodzi tu o to, czy ta opowieść o zakonnikach jest wiarygodna, chodzi o sens spowiedzi indywidualnej. Zrozumiał to Luter, dlatego zniósł ten średniowieczny obyczaj stwierdzając, że spowiedź przed Bogiem i akt

skruchy wystarczy, niepotrzebni są pośrednicy. Luter za swoją schizmę na pewno zapłaciłby stosem, ale uciekł pod opiekuńcze skrzydła niemieckich książąt, którzy mieli dosyć dominacji papieża nad sprawami rządu władzy świeckiej, dlatego chętnie przyjęli pod swe opiekuńcze skrzydła zbuntowanego mnicha. W 2017 r. będzie 500 – setna rocznica tego wydarzenia, czy nie byłby to dobry pretekst, aby spróbować pojednania między wyznawcami protestantyzmu i katolicyzmu? Ale przedtem potrzebne są reformy w kościele katolickim, zgadzam się z tobą. Tak samo bez sensu jest upieranie się papieża przy bezżeństwie księży. Powoduje to odpływ powołań do kapłaństwa i częste już odejścia księży z tego powodu do życia świeckiego.

- No widzisz – tobie też nie dają spokoju sprawy w Kościele, którymi powinien się zająć sobór powszechny. Dlatego ja powiedziałem sobie, że poczekam na to wydarzenie parę lat, bo, jestem przekonany, że musi to nastąpić niezadługo. Wtedy podejmę odpowiednie decyzje. I tobie radzę to samo, „młyny boże” miały powoli, ale przecież miały, ciągle coś się

zmienia. Musimy kończyć to nasze gadanie, proszę abyś zachował je dla siebie. Jutro niedziela, dużo pracy, na szczęście proboszcz nie może spać i zdecydował, że on będzie odprawiał poranną mszę świętą, mogę trochę dłużej pospać.

- Przekonuje mnie twoje podejście do wątpliwości – istotnie trzeba poczekać do soboru. Jutro pewnie nie będziemy mogli porozmawiać, autobus jest w południe. Jak będziesz potrzebował kontaktu ze mną, wiesz gdzie mnie szukać. A co z telefonem, powinien być na plebanii?

- Rozmawiałem w tej sprawie z pocztą, obiecują, ale nic nie robią.

- Zapytam naczelnego, on ma kontakty, powinien pomóc. Pewnie będziesz musiał pojawić się od czasu do czasu na zebraniach Caritasu, wtedy władze cię od razu zauważą.

- Chcesz mnie namówić na popieranie księży – patriotów? Tylko za telefon? A może pomogą mi w zakupie potrzebnych materiałów na budowę kościoła? Nie zamierzam się sprzedawać za żadną cenę. Daj spokój.

- Twoja wola, tak sobie powiedziałem. Biskup nie ma nic przeciwko księżom – patriotom.

A budowa kościoła to sprawa nadrzędna.

- Dobrze, zapamiętam. Jak nie będę mógł dać sobie rady sam, dam znać. A teraz dobranoc – załatwiłem ci pokój obok księdza proboszcza, będziesz miał dobrego anioła stróża. Rano przyjdzie gosposia, da ci śniadanie. Chciałbym, abyśmy za kilkanaście lat się spotkali – ja jako biskup z krzyżem na piersiach i ty jako znany poeta i dziennikarz. Na razie zawięszmy swoje zamiary o odejściu z Kościoła, trzeba poczekać,

może przyjdą lepsze czasy. I, na wszelki wypadek, pomódl się za mnie, za powodzenie moich planów.

- Oczywiście, mam nadzieję, że moje modły zostaną wysłuchane w niebiesiech.

Rozdział 20.

Po powrocie do Olsztyna Leon nie miał czasu na zajmowanie się swoimi prywatnymi problemami - wybuchła sprawa związana z zamordowaniem syna Piaseckiego, Bohdana. Wszyscy mówili tylko o tym. Naczelnym, jako bliski człowiek przewodniczącego PAX-u, często jeździł do Warszawy, uczestniczył w różnych naradach, nie zajmował się redakcją, powierzając obowiązki panu Tadeuszowi. Dyskusje trwały w nieskończoność, zastanawiano się, kto mógł popełnić tę ohydłą zbrodnię. Analiza sytuacji wskazywała, że to zemsta Żydów za przedwojenną działalność Piaseckiego w Obozie Narodowo – Radykalnym. Jednak nikt nie mógł dać wiarygodnego uzasadnienia, czekano na odnalezienie zwłok.

Jakby tego było mało rok wcześniej odeszła z PAX-u grupa działaczy na czele z Mazowieckim. Uzasadnienie podjętej decyzji, według Leona, było słuszne – zarzucali Piaseckiemu autokratyzm, niedopuszczanie do demokratycznego sposobu zarządzania, nadmierne uleganie Moskwie i władcom w Polsce, chęć wejścia za wszelką cenę do rządu.

Leona mało interesowały te sprawy, wrócił do bardziej intensywnej pracy w redakcji, dużo jeździł po województwie zbierając materiały do reportaży. Wiosną 1957 r. do kraju powróciła Zofia Kossak – Szczucka ze swoim mężem, związała się z PAX-em, który zaczął wydawać jej książki, organizował spotkania autorskie. Pan Tadeusz natychmiast włączył Leona do ich organizowania na terenie województwa Olsztyńskiego, co Leon wykorzystał i pierwsze spotkanie zorganizował w mrągowskim gimnazjum. Wujek ogłosił to z ambony, wydał też na plebanii uroczysty obiad, na którym byli wszyscy przyjaciele Leona oraz profesor z Liceum Ogólnokształcącego, polonista, który głównie rozmawiał ze znakomitą Autorką.

Następną organizację spotkania autorskiego pani Zofii przejął pan Tadeusz, który zawiózł ją do Ostródy. Pojechała z nimi Iza, która teraz każdą wolną chwilę spędzała w redakcji, pani Zofia była jej ulubioną autorką, z którą ciągle rozmawiała. Przy okazji szukała sposobnej chwili, by choć na moment podejść do Leona, pogłodzić go czy przytulić się skrycie. Leon nie protestował, ale czuł, że jest pilnie

obserwowany przez Floriana i że prędzej czy później on zorientuje się w sytuacji. Zaczął się zastanawiać, co robić – przecież nie może wiecznie ulegać Izie, Florek to jego kolega, wiele mu zawdzięcza. Wreszcie postanowił, że wykorzysta nieobecność Izy i poprosi Floriana o rozmowę w Staromiejskiej.

Florian zgodził się chętnie. Usiedli, zamówili kawę i po kieliszku czerwonego wina.

- No to gadaj, co chcesz powiedzieć, chociaż i tak wiem, co powiesz. Chodzi ci o Izę – czy nie tak?

- Tak, masz rację, nie trudno zresztą się domyślić. Iza ciągle za mną łązi, szuka sposobności do zbliżenia, a ja przecież nie mogę na to się godzić, nie chcę cię martwić, i tak masz z nią kłopoty.

- Te kłopoty, jak je nazwałeś, są głównie z twojego powodu, ciągle daję mi ciebie za przykład, a nawet grozi, że odejdzie ode mnie, gdy nie będę jej pozwał na spotkania z tobą. A ja ją kocham, nie chcę jej utracić. Czuję, że jak znikniesz, przestanie za tobą tęsknić. Przemyśl to i coś wreszcie postanów, masz przecież możliwość wyjechania do każdego oddziału PAX-u, wszędzie cię przyjmą, jesteś już znany jako dobry dziennikarz i początkujący poeta.

- Może to i dobra myśl – a gdzie byś mi radził się przenieść?

- W twojej sytuacji najlepszy byłby Gdańsk. Blisko do Mrągowa, masz tam ulubionego wujka i grób twojego brata, a i Inka może zdecyduje się na powrót do kraju.

- Chyba masz rację, porozmawiam z Tadeuszem, on ma kontakty z tamtym oddziałem, jeździ też często do syna, który uczy się w szkole prowadzonej przez znajomego. Tylko co ja będę tam robił?

- Myślę, że znajdą coś dla ciebie. W oddziale pracuje dziennikarka związana ze „Słowem Powszechnym”, tuż przed emeryturą, możesz zająć jej miejsce. Pan Tadeusz opowie ci więcej i na pewno poleci cię przewodniczącemu oddziału PAX-u.

Rozdział 21.

Na drugi dzień Leon poprosił Tadeusza o rozmowę.

- A o czym chcesz ze mną rozmawiać, czy coś się stało?

- Niby nic, a jednak wiele, jak głosi piosenka. Znasz sprawę między mną a Florkiem, wydawało mi się, że jak weźmie ślub z Izą, ona da mi spokój. Tymczasem ciągle za mną łązi, twierdzi że nadal mnie kocha i nie może dać sobie rady beze mnie, dlatego jest zła na Florka, że skomplikował jej życie. Rozmawiałem wczoraj z Florianem, ustaliliśmy, że się przeniosę do oddziału gdańskiego. Proszę cię, abyś

wy badał, czy mnie przyjmą i co z tą dziennikarką, która rzekomo idzie niedługo na emeryturę.

- Wiem co cię niepokoi, wiem też, że Iza nie jest ci obojętna, takie wspólne przebywanie nie jest dla was obojgu korzystne, sprawę trzeba przeciąć po królewsku. Radzę ci jak najbardziej Gdańsk, pomogę w przeprowadzce. Myślę, że naczelny nie będzie ci przeszkadzał, choć wiem, że cię ceni, na pewno wolałby, abyś był u nas, ja zresztą też. Ale cóż – serce nie sługa, co z oczu to może i z serca, należy spróbować. Gdy tylko naczelny znajdzie trochę czasu, porozmawiam z nim i dam ci znać, co i jak.

Po tej rozmowie Leon uspokoił się, zaczął rozważać plusy i minusy przenosin. Gdańsk to prężny ośrodek gospodarczy, okno na świat, będzie o czym pisać. Ponadto jest tam także

wielu ciekawych ludzi kultury i sztuki, działa Bim- Bom i Teatr Afanasjewa,

niektórych Leon poznał na zjazdach młodych twórców, między innymi Afanasjewa. A najważniejsze, że w gdańskim oddziale pracuje kolega z lat studiów, mieszkali razem w akademiku, pomoże w zagospodarowaniu się i wprowadzi w tematykę Trójmiasta. Słowem – wszystko przemawia za Gdańskiem.

Leon pomyślał, że powinien przed decyzją przejścia do Gdańska porozmawiać z wujkiem, może coś poradzi, podsunie inne rozwiązanie. Pojechał do Mrągowa pociągami. Wujek odpoczywał po porannej mszy świętej, był w dobrym nastroju, właśnie jadł śniadanie. Natychmiast poprosił gospodynię o kolejne nakrycie. Pojawiła się też nalewka własnej roboty wujka, wypili po kieliszku. Leon opowiedział o planach przeniesienia się do Gdańska. Wujek milczał chwilę.

- Co ja ci mogę radzić? Jeżeli uważasz, że Gdańsk zapewni ci większą szansę rozwoju, to szukaj tam szczęścia. Ale powinieneś myśleć o jakiejś stabilizacji, pierwsza rzecz to zdobycie mieszkania – czy jest jakaś możliwość zdobycia go tam?

- Jakaś nadzieja jest, właśnie dowiedziałem się od kolegi, który już tam pracuje od roku, że rusza budownictwo spółdzielcze, powstaje nowa dzielnica mieszkaniowa „Przymorze”, po roku można otrzymać mieszkanie pod warunkiem, że się wpłaci od razu połowę wkładu. Dowiem się, jak już tam będę, ile to wynosi, wtedy pomyślę o jakiejś pożyczce z banku.

- Nie radzę pożyczać, mam trochę grosza, dam ci, oddasz jak się dorobisz.

- Nie chciałem wujka prosić, ale skoro wujek może mi pomóc, będę wdzięczny i oczywiście wszystko oddam co do grosza.

Pogadali jeszcze chwilę o bieżących sprawach, wujek narzekał na zdrowie, że już zaczyna szwankować, jak to na starość. Pociąg odchodził za godzinę, akurat tyle, by spokojnie dostać się na dworzec.

Rozdział 22.

Mijały tygodnie, a naczelny ciągle był zajęty. Iza po rozmowie Leona z Florianem uspokoiła się nieco, jednak nadal przychodziła do redakcji i szukała możliwości, by być blisko Leona, co wyraźnie denerwowało Florka. Leon przypomniał sobie, że powinien wreszcie napisać reportaż o budowie przez Heńka kościoła, postanowił więc jeszcze raz pojechać by sprawdzić, jak postępuje budowa. Najpierw zadzwonił do kurii, gdzie poinformowano go, że na plebanii jest już telefon. Natychmiast połączył się z Heńkiem, który prosił, aby przyjechał jak najprędzej, choćby jutro.

Około południa był już na plebanii. Heniek przywitał go przed kościołem.

- Widzę, że kościół już zbudowany. Szybko jak na dzisiejsze czasy. Jak tego dokonałeś?

- Musiałem. Po twoim wyjeździe zaczęło mnie coś poboлеwać w dołku między piersiami, lekarz stwierdził, że może to oznaczać poważną chorobę serca. Radził pobyt w szpitalu, aby dokładnie zbadać przyczynę choroby. Niestety – budowa była na ukończeniu, ciągle czegoś brakowało, musiałem być na miejscu, pilnować budowy, zdobywać materiał. Pomyślałem, że po zadaszeniu zdecyduję się na szpital. Miałem oddać kościół w stanie surowym i udało mi się to. Tylko że, widzisz, że zdrowiem coraz gorzej. Tymczasem biskup zapowiedział wizytację, jutro przyjeżdża, by odprawić pierwszą mszę świętą, podziękować parafianom i budowniczym za wspianą postawę w czasie budowy. Dlatego prosiłem cię, abyś przyjechał teraz, będziesz mógł zrobić reportaż z tej uroczystości.

Nagle Heniek chwycił się za piersi, wyciągnął do Leona rękę, otworzył usta by coś powiedzieć, i upadł na ziemię. Leon natychmiast pobiegł do telefonu i zadzwonił po pogotowie. Polecili, by próbował masażu serca, może zdążyć na czas. Niestety, gdy pogotowie przyjechało, mogli już tylko stwierdzić zgon.

Staruszek proboszcz załamał się zupełnie, prosił aby Leon zajął się powiadomieniem kurii o śmierci i objął nadzór nad organizacją pogrzebu, zwołał radę parafialną by ustalić, co dalej robić. W międzyczasie przeniesiono ciało zmarłego do dolnego kościoła i ułożono na marach, bo takie było zalecenie kurii. Jutro z samego rana przyjedzie wikariusz generalny i zajmie się organizacją pogrzebu.

Śmierć Heńka była dla Leona zagadką. Dlaczego Bóg tak zdecydował? Czy musiał zabierać go do siebie akurat teraz, gdy dokonał czegoś wartościowego i godnego, co dawało mu możliwość realizacji swoich planów? A może Bóg nie chciał, aby on te plany realizował? Przecież zaczął wątpić, a jeżeli prawdą jest, że Bóg wszystko widzi, przeszkodził mu w odejściu od Kościoła, zabierając go z tego świata. Dał człowiekowi wolną wolę, ograniczył w ten sposób możliwość interwencji bezpośredniej, dlatego użył drogi pośredniej, wykorzystując naturalną chorobę serca. Wątpliwości te nie dawały Leonowi spokoju gdy tak patrzył na ciało Heńka, leżące na marach. Już jest spokojny, na pewno nie trapi go żadna wątpliwość. Wierni zebrali się na nocne czuwanie, odmawiali cały różaniec, śpiewali pobożne pieśni pogrzebowe. Wokół panowała ciemność, nieco rozświetlona blaskiem świec.

Po godzinie czuwania z wiernymi Leon poszedł do mieszkania Heńka, by choć kilka godzin się przespać. Rano trzeba zawiadomić rodzinę, zanim przyjedzie kanclerz, na pewno sołtys ma telefon, należy to sprawdzić dzwoniąc do gminy. Pogrzebem zajmą się członkowie rady parafialnej i kanclerz, rola Leona jest praktycznie skończona, może spokojnie zająć się reportażem z pogrzebu.

Rozdział 23.

Pogrzeb kuria urządziła wspólnie. Był biskup i kanclerz, paru kleryków oraz kilku księży z sąsiednich parafii. Msza koncelebrowana w tak bogatej asyście olśniła parafian. Surowe mury kościoła oświetlały tylko świece trzymane przez wiernych i zapalone na prowizorycznym ołtarzu. Nieotynkowane mury tworzyły nastrój surowości, a nawet grozy. Heniek, ubrany jak do mszy świętej, leżał w trumnie twarzą zwróconą do wiernych. Leon patrzył i oczom nie wierzył: czy to możliwe, aby ten człowiek, który na samym początku swojej posługi kapłańskiej buntował się, dawał złe świadectwo, kpił ze słów biskupa – teraz leży otoczony przepychem celebry i wiernymi, stojącymi w zadumie i milczeniu? W tej atmosferze słowa biskupa nabierały mocy i tajemniczości, a jego gesty sprawiały wrażenie, jakby sam Bóg zstąpił z nieba, by pokazać ludowi bożemu, jaka jest radość w niebie z jednego grzesznika pokutę czyniącego. Z wypowiedzianych przez biskupa słów w czasie homilii wynikało, że ten buntujący się kapłan zrozumiał wolę bożą i odpokutował za czyny niegodne, kończąc

budowę świątyni. Ukorzył się przed Majestatem Najwyższego, który mu wybaczył i przyjął do swojej chwały. „Mój Boże” – powtarzał w myślach Leon – „to tak Kościół nagradza tych, którzy, mimo buntu, pozostali mu wierni? I skąd ta pewność biskupa, że Bóg wybaczył Heńkowi, to niemal uwielbienie go i wywyższenie przed wiernymi? No tak – przecież to oni, biskupi, czują się namiestnikami apostołów, wierząc, że mają moc przemawiania w imię Mistrza. Najważniejsi są bowiem ci, którzy nie widzieli, a uwierzyli.

Niech więc tak będzie, drogi Heniu, odpoczywaj w pokoju – zakończył swoje rozważania Leon, bo właśnie skończyła się msza i zaczęła się ceremonia pogrzebowa.

Po pokropieniu trumny przez biskupa wierni wzięli ją na barki i zanieśli na pobliski cmentarz, tak bowiem życzyli sobie parafianie, aby ich kapłan spoczywał w otoczeniu swoich wiernych. Wprawdzie krewni Heńka, przybyli na pogrzeb, początkowo sprzeciwiali się tej decyzji, chcąc Heńka pochować na cmentarzu w swojej parafii, ale ulegli biskupowi, jak na posłusznych wiernych przystało.

Spuszczono trumnę do grobu, biskup i obecni na pogrzebie, rzucając garść ziemi, powtarzali zgodnie: „z prochu powstałeś i w proch się obrócisz. Odpoczywaj w pokoju.”

Rozdział 24.

Napisanie reportażu z pogrzebu nie zajęło Leonowi wiele czasu. Połączył dane z budowy z opisem pogrzebu, konfrontując trud budowania ze zmaganiem się człowieka z odbudową siebie, z przyjęciem zgody na wolę bożą. Dołączył zdjęcia kościoła w stanie zamkniętym i zdjęcia Heńka w trumnie – jego życie też zostało zamknięte, mimo że było w trakcie stawania się, szukania własnej drogi. Bóg czy Los wybrał inne rozwiązanie, z ziemskiego punktu widzenia trudne do zaakceptowania, ale przecież człowiek jest tylko „trzcina chwiejącą się na wietrze”, ktoś z zewnątrz przejmuje decyzję, łamiąc w ten sposób daną człowiekowi wolną wolę. Dlaczego to zrobił, nie czekając na czas samospelnienia?

Pytanie było retoryczne, bez odpowiedzi. Postanowił zostawić miejsce na refleksję czytelników, każdy rozważy je inaczej, przymierzając do swojej sytuacji i tych, których zna i ocenia z ludzkiego punktu widzenia. Po napisaniu, czytając tekst przed oddaniem do druku, zastanawiał się także nad sobą, nad swoim losem. Oto stoi przed kolejną próbą przeciwstawienia się temu czemuś, czy komuś, czego do końca nie rozumie, a przecież musi działać, musi podejmować decyzje i za nie odpowiadać. Jest zdeterminowany sytuacją, ale niewielkie możliwości

przecież ma. I czy istotnie to Stwórca dał nam tę odrobinę swobody, czy tworzący nową religię wymyślili, bo sądzili, że znaleźli rozwiązanie odwiecznego dylematu człowieka? Myśląc tak musiał przyznać przed sobą, że nie potrafi dać na te pytania odpowiedzi. Ale też wiedział, że musi je stawiać, by czuć swoją wolność, by nie być tylko narzędziem w „rękach” Niewiadomego.

Nosząc te pytania i wątpliwości w sobie postanowił jednak podjąć wyzwanie i działać. Parę dni po pogrzebie naczelny znalazł wreszcie odrobinę czasu, by wysłuchać Leona.

- Wiem od Tadzia, że chcesz zniknąć z oczu Izy i Leona, w myśl porzekadła, że co z oczu to i z serca. Tak się mówi, gdy nic innego zrobić nie można. Daj sobie czas, niemal każdy młody człowiek przeżywa tego rodzaju dylematy. Tyle jest przed tobą! Jeżeli pozwolisz, dam ci radę: pracuj tak, by budować siebie, ale jednocześnie niech inni widzą i wiedzą, że warto w ciebie inwestować. Ja to wiem, dlatego żał mi, że odchodzisz. Będę cię obserwował, pozostajesz w tej samej organizacji, w której wszyscy niemal wszystko o sobie wiedzą. Masz we mnie kogoś, kto zawsze ci pomoże, tylko daj znać, że ci ta pomoc jest potrzebna. Ustaliłem z Tadeuszem, że jutro urządzimy ci pożegnanie w restauracji „Pod żaglami”.

Rozdział 25.

Następnego dnia, wczesnym popołudniem, w restauracji „Pod żaglami” pojawili się wszyscy mężczyźni pracownicy redakcji łącznie z Florianem. Naczelny zaproponował sznyceł po wiedeńsku i czerwone wino. Propozycję przyjął. Wino nieco rozluźniło napiętą sytuację, każdy chciał coś doradzić, a nawet pocieszyć Leona. Tylko Florian siedział zamyślony i nie odzywał się. Jego obecność nie zachęcała do otwartych rozmów, dlatego szybko zakończono pożegnanie i każdy poszedł w swoją stronę.

Leon wyszedł z Tadeuszem, który umówił się z nim na następny dzień około 9. Pojadą samochodem służbowym, bowiem Tadeusz ma do załatwienia parę ważnych spraw redakcyjnych.

Zbliżał się wieczór. Leon pomyślał, że jedynym miejscem, które chciałby pożegnać, była plaża nad jeziorem Długim. Potrzebował samotności, otwartej przestrzeni jeziora,

by móc spokojnie spojrzeć w to nieodgadnione, które go czeka.

Poszedł pieszo. Nie interesowało go to, co mijał, co już zostawało za nim. Chciał jak najszybciej być na brzegu jeziora, by, patrząc w jego wysmukłą przestrzeń, zobaczyć w wyobraźni morze. Tyle lat żyje, a jeszcze nie widział go z bliska. Musi zaraz po przyjeździe do Gdańska

pójść nad jego brzeg, by przekazać przesłanie, jakie zapewne przekaże mu to dziwnie ukształtowane jezioro.

Stał na plaży. Słońce skryło się już za drzewami. Była cisza. W wylaniającym się półmroku jezioro wydawało się jeszcze dłuższe, zwiastujące jakieś bardzo odległe dale, które, być może, czekają go niebawem. Spokojna woda nie wróżyła żadnych gwałtownych wydarzeń, zmagani z losem. Więc co? – ma zabrać ze sobą właśnie tę ciszę i przekazać ją morzu?

Pomyślał: „Właściwie to i lepiej, że woda jest spokojna – w ciszy przyjemniej jest myśleć. We mnie też jest spokój. Na nic się nie obrażam, nic mnie nie oburza, nic nie smuci. A może z człowiekiem jest tak samo jak z wodą: szumi gdy spotka pomyślny wiatr, a uspokaja się, gdy wiatr cichnie. To i co, że muszę odejść? Jeszcze jestem silny, jeszcze nie czas na zwątpienie. Los miał rację: spotkamy się, o tak – jeszcze się spotkamy. Nie jestem Werterem ani Wokulskim, żyję w innej epoce, inna ukształtowała mnie filozofia. Wierzę, że warto żyć, choć byśmy mieli zostawić po sobie to tylko: „ślady na piasku i kręgi na wodzie” – jak chce poeta. Bo nie jest najważniejsze, co po sobie zostawiamy, ale co ze sobą bierzemy. Więc – do zobaczenia, Losie! Odchodzę stąd, ale się jeszcze spotkamy. Inne będą jeziora i inny będzie las, a nawet i ja się zmienię – nie na tyle jednak, by nie móc stawić ci czoła.”